

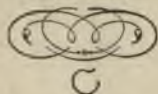


ŁZY I UŚMIECHY.

ŁZY I UŚMIECHY.

POEZJE

Antoniego Kolankowskiego.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-240 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

WARSZAWA.

w Drukarni Jana Jaworskiego

ulica Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.

1870.

<http://rcin.org.pl>



Дозволено Цензурою.

Варшава, 23 Марта (4 Апрель) 1870 года.

I.

STRACHY. ¹⁾.

(OPOWIADANIE STAREGO JANA).

Dlaczego, mój Janie, kaplica za dworem
Chwastami porosła i stoi otworem, -
Gdy jeszcze ruina oszczędza jój ściany?
—Ej, smutne to dzieje, mój panie kochany,
I boję się o nich wspominać przed nocą.
Pamiętam, w zapusty, poszóstną karocą
Przybyła tu do nas, świeć Panie jój duszy,
Nieboszczka krajczyna Olendzka z Potuszy.
Więc ruch w całym domu i szczerze wesele,
Bo gości, mosanie, zebrało się wiele:
I panom uciecha i sługom niezgorzėj,
Jak zwykle bywało przy łasce nam Bożej.
W orszaku krajczyny był jój pokojowy,

¹⁾ Wiersz ten zamieszczony w Nr. 114 „Tygodnika Ilustrowanego”.

Chłop tęgi i butny, karmazyn herbowy—
 Choć maluj mosanie i postać i mina;
 A już mu się nieco kurzyła czupryna.
 Więc każdej wpadł w oko, bo brał się obcesem
 I wszystkich, jak mówią, odsadził z kretesem.
 Stańło, by spoić intruza jak bełę.
 On pije i pije, a zawsze na czele,
 I w tanku rej wiedzie, i w drodze znów stawa,
 I sypie dusery jak gdyby z rękawa.
 Wtém Łowczyc upitski, pokrewny jejmości:
 —, A radźcież panowie, bo pęknę ze złości,
 Jeżeli ten hołysz przewodzić nam będzie;
 Toż przecie na swojej jesteśmy tu grzędzie.“
 Więc rada, i projekt się wysnuł jak z płatka,—
 A Łowczyc powiada:—,no będzie mu gratka,“...
 I potarł czuprynę i zniknął gdzieś z sali.
 Tu pana Oskierkę, (przybysza tak zwali),
 Zagadnie Boufał, co dobrze miał w czubie:
 —, Do niewiast zuch jesteś, mój panie Jakubie;
 Lecz śmiałość ci pono nie zawsze się zdarza...
 Ot, ty byś z kaplicy nie przyniósł lichtarza;
Notandum, w niej stoi nieboszczyk od rana“.
 Oskierce zawrzała krew winem rozgrzana.
 —, A co to? powiada, bierzecie na próby?
 Ja mógłbym się innęj dopomnieć rachuby,

Z niej pewnie by wreszcie krew czyjaś pociekła.
Cóż lichtarz... błażństwo! przyniosę choć z piekła
I was jeszcze *mores* w dodatku nauczę“.
Więc „zgoda!” krzyknięto, posłano po klucze;
A ciemno na dworze, gołoledź i słota,
Lecz gorsza, jak mówią, niż przymus — ochota.
Oskierko, jak jędor, napuszył się srodze,
Nacisnął kapuzę i plucha po drodze;
My chyłkiem, z daleka, bo każdy ciekawy
Zobaczyć co będzie z tej nocnej wyprawy.
Otworzył nareszcie, mosanie kaplicę,
Stojącą przy trumnie wyciągnął gromnicę
I lichtarz cynowy już ujął do ręki.
Wtém, jakby z podziemi, ozwały się jęki:
„Nie tykaj, zuchwały, to własność kościoła!“
— „A bierz kiedy twoje!“ Oskierko zawoła,
I rzucił co siły ów lichtarz cynowy,
I jęk się powtórzył — lecz głuchy, bez mowy.

Oskierko drżał cały, gdy wyszedł z kaplicy;
Łowczyca nie było — więc szukać gromnicy,
I przy jój światełku, na stopniach ołtarza
Widzimy jak Łowczyc w krwi własnej się tarza.
Miał głowę nieborak okrótnie strzaskaną
I usta mu krwawą okryły się pianą;

Wypreżył się cały i skonał po chwili.
Ukłękliśmy przy nim, paciorek zmówili,
A tu już płacz wielki i lament we dworze.
Ot, jak to swawola zakończyć się może.

Co stało się potem, chcesz wiedzieć, mój panie?
Widocznie dotknęło nas Boskie skaranie
I dom się ten, cały pograżył w żałobie,
Dziś pustki dokoła — panowie już w grobie;
Jam zostałem tu niby doglądać nad dworem,
A ludzie starego nazwali upiorem.
I słusznie, mosanie, bo dawno już pora...
Lecz cóż? — nie mam łaski u księdza przeora.

EKONOM.

(Gawędki przy kominie).

Co tam wasi, odpuść Chryste,
Gospodarze nowój mody?
Nieutłuką w stępie wody!
A posłuchasz — brednie czyste.
U nas panie lepiej było:
Znał człek dobrze swoją rolę,
Unawoził całe pole
I daj Boże, jak rodziło.
Choć żniwiarek-śmy nie znali,
Lecz robota szła nam składnie;
Żytko słało się tak ładnie,
Że aż dusza Boga chwali.
Bo i widzieć że to trzeba,
Gdy we żniwa człek bywało
Ruszy w pole siłą całą.
Ufny zawsze w pomoc Nieba,

Od samego panie świtu
Człek na koniu pędził życie,
Lecz spał zato wyśmienicie
I nie brakło apetytu.
Ba! i służyć było komu:
Choć od znoju czoło potnie,
Lecz pracuje się ochotnie,
Gdy nagroda czeka w domu.
Wracam z pola: „panie Janie!“
Woła z ganku *Dobrodzika*,
„A puść proszę tam konika,
Maoz dziś u mnie posłuchanie“.
Więc się zwijam jak należy,
Cały w kurzu, cały w pocie,
Bo już wabia tam łakocie
I ponętny brzęk talerzy.
Wchodzę – śmiechy, żart niewieści
I radości czasem tyle,
Że gdy wspomnę one chwile,
To się w sercu żal nie mieści!

W święto zwykle pan przywoła
Gdy na stole już śniadanie:
„No, cóż słyhać panie Janie?
Jedziesz pewnie do kościoła?”

Zabierz Rózię, bo się biedzi,
Chce nieboga do spowiedzi“.
Panna Róża oczki chowa —
(A to była *respektowa*,
Samój pani faworyta.)
„No cóż, jedziesz?“ pani spyta
I nieznacznie mrugnie okiem.
Ta się niby jeszcze droży,
Ale znęci domek Boży,
Więc na bryczkę jednym skokiem.
Dotąd ucho śmiech ten słyszy,
Co nam z ganku towarzyszy,
Ale Różia już w mogile.
Chciałem wieść ją do ołarza
A poniosłem do cmentarza,
Bo sądzono tylko tyle.
Zwiądl wianeczek jój godowy;
Ale odtąd już nie chciałem,
I, Bóg świadkiem, nie kochałem
Innej w życiu białogłowy.

Do Różańca i do tańca
Człowiek stawał gdy potrzeba;
Więc téż nie jadł darmo chleba
I nie służył przez posłańca.

Za to nie wstyd przecie było
Dobrym ludziom spojrzeć w oczy,
I dziś często łza się stoczy,
Kiedy wspomnę jak się żyło.
Czy żałoba, czy wesele,
Jam je dzielił sercem całym...
I tak przeszło latek wiele.
Widzisz *wasze* postarzałem.
Świat koło mnie dzisiaj nowy,
Ludzie nowi, szczęście im Boże!
Mam tu kątek, nim nie złożę
Na cmentarzu siwej głowy:
A to wszystko, świeć im Panie,
Z dobrodziejów moich woli.
Bóg też może mi pozwoli
Z nimi złączyć się, mosanie.

PIEŚNIARZ.

Grzmi rozgłośnie kapela,
Budzi okrzyk wesela,
Klaszczą w dłonie i gwarzą słuchacze;
Patrzą chciwi grajkowie:
Czy z nich radzi panowie,
Czy nie rzucą im złota bogacze.

A w téj cizbie godowój
Młody pieśniarz wioskowy
Stanął zdala ze swoją lirenką;
Stanął skromnie, nie śmieie,
Jakby w Bożym kościele—
On chciał duszę nasycić piosenką.

Słucha młodzian, wciąż słucha!..
Płyną tony do ucha,

Ale serce nie drgnęło prostacze:
Bo nie było tam nuty
Z głębi serca wysnutėj,
Co tak szczerze się śmieje i płacze.

Więc nie czekał już dłużej...
„Niechaj szczęście wam służy“,
Rzekł odchodząc, „grajkowie uczeni:
Pójdę szukać przyrody,
Zawsze pięknej i młodej,
Co się życia pełnością rumieni;

Jěj to barwy i dźwięki
Do swėj zbiorę piosenki
A zanucę ją mojej dziewczynie.
Ona złotem nie płaci,
Lecz uściskiem wzbogaci
I łza cicha z jej oczu popłynie“.

DZIEWCZĘ i SŁOWIK.

Ej słowiku, nieznośne ty ptaszę,
Co mi zasnąć nie dajesz do rana;
Nie wiesz, co to noc dla nas niespana,
Nie wiesz, co to w niej dumki te nasze.
Śpiewasz, bo ci wesoło i błogo,
Bo cię luba twa słucha z rozkoszą,
Echa piosnki twe chciwie roznoszą,
A ja nie mam nikogo! nikogo!
Nikt nie widzi mej krasy dziewiczej,
Nikt tęsknoty i troski nie dzieli;
Więc i cóż mi do twoich tam treli?
Co mi do twój piosenki słowiczej?
A słowiczek wciąż śpiewa namiętnie,
W tonach rzewnych się cały rozplywa,
Miłość w pieśni się jego odzywa,
Rozkosz w każdym odzywa się tętnie.

I jak gdyby chciał mówić dziewczynie:
„Niegardź moją piosenką prostaczą,
Bo jój pora już prędko przeminie...
Ludzie dobrzy twe wdzięki zobaczą,
Poznasz miłość, bo ona jest wszędzie,
Z jój się poznasz tęsknotą i trwogą,
I méj piosnki zapragniesz niebogo,
Ale wtedy mnie tutaj nie będzie“.

DZWON ZAPUSTNY.

W noc zapustną, na wieży,
Stał w podartój odzieży
Stary dzwonnik, przyparty do ściany;
Wiatr mu brodę nastrzępił,
Starzec czoło zasepił
I przygarnął rozwiane łachmany.

„Cieżka dola dzwonnika,
Chłód do kości przenika
I pociechy zeń ludziom nie wiele;
Tylko mary i groby,
Tylko pieśni żałoby,
Rzadko święto, lub jakie wesele.

Ot i dzisiaj—zapusty—
Wszędzie radość, śmiech pusty,
 Zapomnieli ludziska niedolę;
A tu dzwon im zahuczy...
E,—niech przeor pomruczy,
 Ja im jeszcze pohulać pozwolę“.

I nie śpieszył z posługą:
Długo jeszcze stał, długo,
 Za czémś myślą samotną pogonił.
Podniósł oczy do góry,
Ujął wreszcie za sznury
 I potężnie, co siły, zadzwonił.

KOŚCI! KOŚCI!

Kuchareczko, kości! kości!
Kupuję jakie się zdarzy;
Towar to godny nędzarzy,
Zarobek godny litości.

Czy stare zębki jejności,
Czy ogryzione przysmaki,
Za wszystko płacę miedziaki:
Kuchareczko, kości! kości!

Gdy tłumy wesołych gości
Niweczą owoc twój pracy,
Pamiętaj, że są biedacy:
Kuchareczko, kości! kości!

Niczyjój nie chcę litości,
Choć chleb mój potem oblany,
Milsze mi własne łachmany:
Kuchareczko, kości! kości!

Czy stare ząbki jęймоści,
Czy ogryzione przysmaki,
Za wszystko płacę miedziaki:
Kuchareczko, kości! kości!

PIOSNKA — SIEROTA.

Co tak jęczy żałośnie?
Co tak grucha miłośnie?
 To być musi gołąbka zbłąkana;
Albo dusza zaklęta,
Siłą czarów ujęta,
 Skargę rzewną zasyła do Pana.

Nie gołąbka tam grucha,
I nie skargi to ducha,
 Co w noc ciemną za grzech gdzieś stęka,
To swe żale wywodzi,
To tęsknotę swą słodzi,
 Zapomniana, wzgardzona piosenka!

Bóg ją dotknął złą dolą:
Niegdyś chlebem i solą,
 I otwartém ją sercem witali;

Dziś sercami grosz włada,
Każdy przed nim upada,
A piosenkę — sierotę wygnali.

Więc się błąka samotnie,
Ale śpieszy ochotnie,
Gdy ją dziewczę stęsknione przyzywa;
Lubi wiejskie zagrody,
Dzieli smutki i gody,
I do pracy zachęca we żniwa.

ŚLUBNA SUKIENKA.

Matka mi ślubną szyje sukienkę,

Rąbek śnieżysty w ręku jęj drży,

I tęskną jakąś nuci piosenkę,

I łza jęj często spada na rękę:

Złota mateczko, po co te łzy?

Jasio jedyny kocha mnie szczerze,

On ziści moje urocze sny,

On drogę życia w kwiaty ubierze—

Sam mi to mówił—a ja mu wierzę:

Złota mateczko, poco te łzy?

Lecz i w mém sercu trwoga nieznana,

Jak złe przecucie budzi się już;

Smutno mi czegoś... Matko kochana!

Zawsze-ż ta droga cierniem usłana?

Snem-że są tylko te wianki z róż?

BOLEŚĆ ŚWIĘTA.

W kościele cisza — klęczy lud w pokorze;
Kapłan wznosił ręce, a nad jego głową
Promień słoneczny, strugą brylantową,
Padł na Krzyż Pański i Oblicze Boże
Cudnie oświecił... Jaka boleść święta!
Pokorna, cicha, Boska, uśmiechnięta.
Dlaczego człowiek cierpieć tak nie może?!

MADONA.

Kiedy na obraz Twój, o Matko Boża,
Ja z uwielbieniem patrzę—i łąza cicha
Stanie mi woku, jak rosy perełka;
Wtedy tak lekko, tak błogo w mej duszy,
Jakby ją anioł swoim spojrzeniem powitał.
I wszystkie miłe nadzieje, i lat szczęśliwszych pa-
(miątki,

Jak kwiaty, w jeden spletają się wianek,

Który na Twoim zawieszam ołtarzu.

Ja, zdaje się, widzę domek rodzinny,

W nim, nad wezgłowiem mej matki,

Obraz Twój w ramach złocistych na ścianie,

A ona uczy mię przed nim pacierza.

Później staje mi w myśli nie jedna boleść miniona,

W której, Matko litości, Ciebie o ulgę błagałem.

I wiele różnych snuje się obrazów,

I wiele myśli krzyżuje się w głowie:

Aż mimowolnie się zegną kolana,

Schyli się czoło przed Boskim obliczem,

I z ust błagalna odleci modlitwa.

SERCE CZŁOWIEKA.

Serce człowieka, jest jak kościół Boży:
W niem tyle święta, tyle czci i wiary,
Że, w czasie modłów i cichój ofiary,
Wróg nasz odwieczny, zbliżyć się doń trwoży.
Lecz, jak w świątyni, którą zbrodnia splami,
A czas rozpocznie swe dzieło zniszczenia,
Złowrogie ptaki szukają schronienia
I blade widma zawładną pustkami;
Tak i do serca, skalanego grzechem,
Tłumnie się cisną zgubnych żądz zastępy
I szarpią srodze, jak zgłodniałe sępy,
A jękem szatan wtóruje swym śmiechem.
O serce moje! w tobie jeszcze gości
Tyle nadziei, wiary i miłości,
Że piekło nie śmie władzy swój roztoczyć:
Lecz wypleń z siebie zarody zwątpienia,
Poznaj rozkosze trudu, poświęcenia,
I z Niebem ściślej staraj się zjednoczyć.

PROŚBA.

Na rąbku przejrzystym sinego obłoku
Zleć do *niej* aniele z Niebieskiej krainy;
Powiadaj na uszko wesołe nowiny,
Zajaśnij radością w *jéj* sercu i oku,
I radość ta Boska niech zawsze *jéj* świeci
Wśród życia goryczy, wśród ziemskich zamieci.

A kiedy zapłakać *jéj* będzie potrzeba,
Najczystszych łez kilka ty przynies *jéj* z Nieba:
Za miłość, ofiary i troski *téj* ziemi—
Niech łzami przynajmniej nie płacze innemi.

Od zdrady, potwarzy i burz tego świata
Okrywaj *ją* rąbkiem białości śnieżystej;
A kiedy *jéj* duszą zwątpienie kołata,
Pokrzepiaj widokiem dziedziny gwiazdzistej.
Niech promyk niebieski *jéj* świeci nad czołem,
Niech będzie mi zawsze, pociechy aniołem.

POGRZEB.

Zasnął w Panu Jan stary,
Co miał leki na czary,
Co za młodu był grajkiem nielada;
Przyszedł jeden i drugi,
Dla ostatniej usługi,
Zmówić pacierz za brata—sąsiada.

Lecz u grajka, jak wiecie,
Niema groszy w kalecie,
A bez stypy nikt długo nie gości;
Więc potrzęśli głowami,
Łzy otarli połami
I do domów odeszli w żałości.

Szlocha swoja gromadka,
Żal jej ojca i dziadka,
Choć go lata i niemoc schyliły;
Wierny sługa domowy,
Pieszczoch starca, wół płowy,
Wieżie pana do zimnej mogiły.

U zagrody cmentarza
Boleść serca rozżarza,
Głośnym jękiem żegnają pospołu.
Wzmógł się lament kobiecy,
Wzięli trumnę na plecy
I ostrożnie spuścili do dołu.

Dziad ją ziemią zarzucił,
Drżącym głosem zanucił:
„Anioł Pański” na świeżym kurhanie,
I raz jeszcze w dzwonnicy,
U cmentarnej kaplicy,
Brzęknął dzwonek, na wieczne rozstanie.

Do E. P.

Mało w życiu chwil radości!

Mało prawdy i miłości

Ma ten biedny świat.

Serca ludzi wieją chłodem,

I zwątpienia ścięty lodem

Więdnie uczuć kwiat.

Lecz gdzieniegdzie, wśród zamieci,

Błądny ognik jeszcze świeci,

Iskra Boża tli:

Do nich śpieszy duch stęskniony

I ogrzany, orzeźwiony

Złote dumki śni.

ZIMA.

Już zima usłała pościolkę ze śniegu,
Na radość wam panie i pany;
Lecz nie śpiesz nędzarzu ze swego noclegu,
Połataj dziurawe lachmany.

Ty mała sierotko, w podartej koszuli,
Uciekaj do swego barłogu;
Bo śnieżek ten zimnem grobowém otuli,
Duszycka uleci ku Bogu.

Kalecy i chorzy, nie patrzcie wy lepiej
Na zimy łabędzie posłanie;
Bo ona wam chaty i oczy zasklepi...
Co będzie, gdy chleba nie stanie?

A śnieżek się ściele, wiatr coraz dmie srożej,
Wśród martwej i głuchej pustyni.
Nie bluźnić nędzarze! wszak z ręki to Bożej—
On jeden wie tylko co czyni.

MIŁOSIERDZIE.

Na poddaszu uboga izdebka,
W niej posłanie ze słomy, kolebka
I skostniała od zimna rodzina.
Płacze głodna w kolebce dziecina,
Bo pierś matki ostygła i chora
Już pokarmu nie daje od wczora.
Ojciec słaby, oparty na rękę,
Cierpi srodze — bez skargi i jęku
I wzrok czasem podniesie do nieba.
„Mamo!” woła chłopczyna „daj chleba!”
„Wszak paciorek mówiłem już z rana;
Chleba chce się mateczko kochana”.
Więc drgnął chory — przypomniał niedolę,
Spojrzał tkliwie na blade pacholę
I łza wielka — ta perła nędzarzy,
Po wychudłej stoczyła się twarzy.
Gdzież są ludzie!?. Lecz oto po chwili,
Cudna postać drzwi zlekka uchyli —
A z nią weszła pociecha nieznana:
Juz rodzina nędzarzy ogrzana,

Błysnął ogień w zastygłym kominie,
Radość świeci w oczętach chłopczynie,
Chory westchnął i wolniej oddycha,
Do kolebki się matka uśmiecha,
Bo tam tam leży dziecinka skrzepiona
Życiodawczym pokarmem jój łona.

ZŁOTA CHWILKA.

Igrajcie dziewojo, igrajcie jak dzieci,
Wśród kwiatów i cudnej zieleni;
Igrajcie, dopóki słońeczko wam świeci
A młodość jagody rumieni...

Jak lekkie motyle huśtajcie się śmiało,
Szczebioczcie w wesołym rozgwarze;
Niewinnej uciechy jest w życiu tak mało,
Więc bierzcie, gdy niesie ją w darze.

Bo przejdą te chwile, jak senne marzenia,
Uwiedną kwiateczki na skroni;
I pierzchną szczęśliwej młodości złudzenia
I oko łzę gorzką uroni.

Lecz teraz igrajcie, szczebioczcie jak dzieci,
Wśród kwiatów i cudnej zieleni;
Igrajcie dopóki słońeczko wam świeci,
A młodość jagody rumieni.

NIE DLA MNIE KWIATY.

Z kolorów tęczy utkany,
Promieniem słońka ogrzany,
Piękny, miły, skromny kwiecie!

Rosy perełka

Szklę twoją skroń;

Z twojego zdźbełka

Ożywcza woń

Przelewa rozkosz w duszę mą.

Pieszczony natury dziecię!

Patrząc na ciebie,

Ja zda się widzę w Niebie

Tego, co utkał sukienkę twą:

Jak dobry On, jak wielki On!

Ale nie dla mnie kwiatku t^ue wdziękⁱ,
Nie dla mnie twoja ożywcza woń;

Bo moja dłoń

Sięga po ciernie

I w ciernie zdobi zboląłą skroń—

A ty, ty nie wiesz, co to są ciernie.

Nietknięty chłodem jesieni,

Nie zatruty złym oddechem,

Luby kwiatku, ty z uśmiechem

W rozkosznej kwitniesz zieleni.

Dobrze ci na Bożym świecie:

A więc rośnij, mój jedyny,

Póki nimfa t^ej doliny

Ciebie do wianka nie wplecie.

SIEROTA.

Zaścianeczek tuż u drogi,
Schłodny choć ubogi;
Na podwórku szumią drzewa,
W blizkim lesie ptaszek śpiewa,
Sterczą żytnie brogi.

Po za chatą wzgórek mały
Zieloniutki cały;
Krzyż omszony i pochyły,
Pod nim świeże dwie mogiły
Rzędem się usłały.

I o jednej zwykle porze,
Kiedy zmrok na dworze,
Z tej samotnej, cichłej chatki
Na grób ojca, na grób matki
Śpieszy dziewczę hoże.

Żółty piasek łzami zlewa,
Westchnieniem ogrzewa;

Lecz łzy siękną w piasek suchy;
Grób na jęki zimny, głuchy,
Skargi wiatr rozwiewa.

Tylko gwiazdki dwie na niebie
Świecą obok siebie;
Spływa promyk z nich uroczy:
Tam sieroto wznies tve oczy,
Tam patrzą na ciebie.

WLAZŁ KOTEK NA PŁOTEK.

(Żarcik po przeczytaniu znanęj pod tym tytułem piosnki Władysława Syrokomli).

„Wlazł kotet na płotek i mruga:
Piękna to piosenka, nie długa“.
Któż tobie, koteczku mój złoty,
Odmrugnąć by nie miał ochoty?
Lecz jedno to tylko przeszkadza,
Że kotek czasami nas zdradza;
Bo zdrada kotkowi to fraszka,
To jego zwyczajna igraszka,
A dla nas z niej boleść jest długa,
„Wlazł kotek na płotek i mruga“.

Ej kotku, ty kotku filucie!
Niech mrugnie w twych oczkach uczucie,
A my będziemy zawsze gotowi
Uczuciem odplącić kotkowi.
Więc mrugaj koteczku mój szczerze,
Ja za to ci z duszy uwierzę,
I zawsze odmrugnę tak ładnie,
Że kotek zupełnie mię zgadnie:
Wtém trwalsza i miłsza zasługa,
„Wlazł kotek na płotek i mruga“

FRAGMENT

(Z NIEDOKOŃCZONEJ GAWĘDY.)

Nieboszczyk *stary*, świeć mu tam Panię,
Był to personat, jakich dziś mało;
Bo to i mina tęga mosanie,
I sensu wółbie—dla trzech by stało—
A przedewszystkiem serce miał złote!
Więc gdy usłużyć było mu trzeba,
Człowiek by chętnie przychylił nieba,
Lub w ogień skoczyć miałby ochotę.

Było to jakoś w adwencie pono,
Wezwał mię *stary*, (a jadł śniadanie),
„No, utnij *starki*, mój panie Janie—
Jutro do Rubna jedziesz z mą żoną.
Spraw mi się wasze gracko i składnie;
Bo zdasz mi sprawę, kiedy mosanie
Baba kataru w drodze dostanie,
Lub w wiepskiej karczmie nocleg przypadnie“.

Wybiegłem żwawo—ruch w całym dworze:
Znoszą się pudła, fraszki, łakocie,
Cały fraueymer mosanie w pocie,
A ludno, gwarno, jak na komorze.

I mnie też czekał taniec nielada;
Bo nie tak łatwo, jak wyrzec słowo,
Było się wybrać w podróż takową,
Ale pan kazał—więc trudna rada!

Nazajutrz po Mszy i rannój kawie,
Cały nasz tabor ruszył pochodem.
Na dzielnej szkapce jam pomknął przodem,
Tak, żem i ziemi nietykał prawie.
Nie miałem czasu drzémać, mosanie
Bo to mil dobrych siedem, z okładem
Trza było ubiedz, i już z obiadem,
Cum pleno luxu, czekać w Ucianie.

Wszystko narazie poszło jak z płatka:
Gospoda schludna, waza na stole,
I anim myślał, że mię w stodole
Czeka tam jeszcze nie lada gratka.

Jakiś *szaraczek*, w starój lisiurze,
Wjechał na szkapie w otwarte wrota.

Mówię „zajęto“! a on niecnota —
„Idź precz“, powiada, ślepy Mazurze“!

Więc krew zawrzała i jak rzekł słowo
Jużeśmy młynca puścili w taniec:
On mi na piersiach przeciął różaniec
A jam się z jego pobratał głową.
Ale, że cięcia były po Bogu,
Więc każdy ranę załatał papką;
On ruszył dalej, potrząsłszy czapką,
A jam swą panię przyjął u progu.

Choć mię to lichy bolało srodze,
Sekret był jednak zachowan ściśle,
I dziś śmiech bierze kiedy pomyszę,
Żem guza sobie oberwał w drodze.
Pan się też jakoś dowiedział z czasem
I za tę psotę, (światło mu wieczne),
Niby za jakie służby stateczne,
Litym mię jeszcze nagroził pasem.

It is a pity that the world is so full of
people who are not interested in the

truth of the matter. They are all so busy
with their own little concerns that they

do not have time to think about the
big picture. They are all so busy with

their own little concerns that they do not
have time to think about the big picture.

They are all so busy with their own little
concerns that they do not have time to

think about the big picture. They are all
so busy with their own little concerns

that they do not have time to think about
the big picture. They are all so busy

with their own little concerns that they
do not have time to think about the big

picture. They are all so busy with their
own little concerns that they do not

have time to think about the big picture.
They are all so busy with their own little

concerns that they do not have time to
think about the big picture. They are all

so busy with their own little concerns
that they do not have time to think about

II.
PIOSNKI.

GRAJEK.

Na zagrodzie gospody
Usiadł grajek, chłop młody,
 Okiem smutném zatoczył po niebie;
Potém w struny zabrzączy,
Ale skrzypka coś jęczy,
 Jak sierota na matki pogrzebie.

Czeka młodzież na tany:
„Cóż to grajek dziś pjanya?“
 Szemrze z cicha wesoła drużyna.
Jedna tylko milczała,
Jedna tańczyć nie chciała—
 Czarnooka gołąbka — dziewczyna.

Ze stokrotką u skroni,
Główkę wsparła na dłoni,
 * Po jagodach tajona łza spływa.

Żal jęj grajka niebodze:
Musi cierpieć on srodze,
Kiedy nutę żalną wygrywa.

„Janku złoty, co tobie?
Żeś w tak ciężkiej żałobie?“

Szepnie wreszcie do grajka nieśmiało.
„Czy cię urzekł kto może,
Czy też myślisz, broń Boże,
Że cię kocham serdeczny za mało?“

— O dziewczyno kochana,
Moja gwiazdka świetlana!

Wierzę tobie, jak Bogu na niebie;
Mam krzyż święty na czary,
Ale jutro swat stary
Od Bartosza przyjedzie po ciebie.

Ty mnie kochasz niebogo,
Ale pójdziesz swą drogą
I zapomnisz o grajku—sierocie.

Ja sam jeden zostanę,
Pędzić noce niespane,
Włóczyć ciężką mą dolę w tęsknocie.

ZIELONY WIANECZEK.

Wianeczku mój mały, wianeczku zielony,
Westchnieniem ogrzany i łezką zroszony!
Rękami drżącemi jam ciebie splatała
I tęskną o lubym piosenkę śpiewała,
I kładła na sercu, co w piersi mej drżało,
Jak gdyby swą boleść powierzyć ci chciało.
Zawieszę ja ciebie w smentarnej kaplicy,
Na cudnym obrazku Maryi—Dziewicy,
Co tuli z miłością świat cały do łona
I patrzy tak rzewnie, jak matka rodzona.
Nie wędnij, wianeczku i nie trać twój woni
Dopóki skowronek piosenkę wydzwoni,
Dopóki słowiczek w dąbrowie zanuci,
Dopóki mi radość do serca nie wróci.

M I Ł O Ś Ć.

Raz słońeczko złote wschodzi,
Raz się miłość nam uśmiecha,
Raz się tylko napić godzi
Z uroczego jój kielicha.

Kwiatek żyje rosą z nieba —
Nęci barwą, aromatem:
Człowiekowi kochać trzeba,
Żeby serce było kwiatem.

Jesień zwarzy wonne kwiaty,
Słonko przyćmi swe promienie;
Miłość pierzchnie w lepsze światy,
Lecz zostawi nam wspomnienie.

ROZMOWA.

Serce moje, powiedz, czemu
Zawsze tęsknisz podawnemu,
Zawsze kochasz ludzi?
Znosisz bóle i zawody:
Czyż ta miłość bez nagrody,
Ciebie nie ostudzi?

— Nie ostudzą mnie zawody,
Bo nie żądam ja nagrody
Za moje cierpienia;
Bo w cierpieniach są rozkosze,
I te bóle, które znoszę,
Miłość opromienia.

Nie zawiodą mnie nadzieje,
Bo i dla mnie zajaśnieje
Choć dzionek rozkoszy;
Bo i zemną, choć w niedoli,
Jedno serce się zespoli
I smutki rozproszy.

A W O M S O Z

K W I A T E K.

Gdzieś w ustroni, na dolinie,
Piękny weszedł kwiat,
I z rozkoszą w swój dziedzinie
Witał Boży świat.

I listkami w górę strzelił,
I rumienił się, weselił
Martwą zdobiąc błoń.
I na chwasty, dzikie zioła,
Co porosły dookoła,
Miłą rozlał woń.

Lecz i kwiaty troski mają,
Lecz i kwiaty usychają
Od znoju i burz.
I nasz kwiatek skromny, miły
Srogie burze nawiedziły
Zna on troskę już.

Biedny kwiatku! w samym świcie
Twoje błogie, piękne życie
 Zaćmił smutku cios;
Lecz się nie smuć, bo dla ciebie
Zapisany wyrok w niebie,
 Co twój zmieni los.

G W I A Z D K A.

Świeć nam gwiazdko w modrem niebie,
 Zlewaj szczęścia zdroj,
A gdy będziem szukać ciebie
 Rozjaśń promyk twój.

W nieprzebytej smutku chwili,
 Niechaj nasze łzy
Błogie światło twe umili,
 I rozproszy mgły.

Niech się modły nasze zleją,
 Jak promienie twe
I przed Bogiem zajaśnieją
 Na niebieskiem tle.

Rozjaśń gwiazdko nasze czoła,
Wiarę w sercach wznieć,
A gdy wieczność nas powoła
Nad mogiłą świeć.

M O G I Ł A.

Kiedy smutek serce kruszy,
W czarne życia chwile,
Ja pociechy dla mej duszy
Szukam na mogile.

Ach, bo na niej zaświeciła
Gwiazdka nad mą głową,
Na niej luba obdarzyła
Mnie łezką perłową.

Dziś samotny, komuż zwierzę
Mego serca bicie?
Gdzie tęsknotę mą uśmierzę,
Gdzie zapłaczę skrycie?

Ludzie zimni śmiać się radzi
Z cierpień i rozpaczy,

Bo najlepszy druh cię zdradzi
I nic nie przebaczy.

A mogiła zrozumiała
Rzewną serca mowę
I jak matka zajęczała
Tuląc moją głowę.

Więc też do niej, w każdej dobie,
Tęskna myśl ucieka,
Bo współczucia więcej w grobie,
Niż w sercu człowieka!

CZARNE OCZY.

Twoje piękne czarne oczy
Mają taki wdzięk uroczy,
Tyle ognia, tyle siły,
Że przed niemi gwiazdkom nieba
Nieraz w chmurach kryć się trzeba,
Bo je oczy tve przyćmiły.

A głąb' taka twój żrenicy,
Że lot szybkiej błyskawicy
Nigdy zmierzyć jej nie może!
O, kto w głąb' tę zajrzał śmiało,
Temu w oczach pociemniało,
Bo ten widział cuda Boże.

Spójrz że na mnie o dziewico!
Twoich oczu błyskawicą
Niech ma dola zajaśnieje,
Życio-dawcze tve spojrzenie
Niech mi wróci uniesienie,
Niech mi wróci me nadzieje.

PLYNĄ LATA.

Płyną lata, jak fala po fali,
Niknie życie i wszystko się zmienia,
I zostają już tylko wspomnienia
O tém, cośmy tak szczerze kochali,
Cośmy czuli i nad czém płakali.

Przed niewiele jak pomnę latami,
Jam czuł żywiej i kochał inaczej,
I marzyłem w nadziei prostaczej,
Że świat cały ogrzeję piersiami,
Że bratniemi zawładnę sercami.

Lecz zawiodłem się srodze, boleśnie,
Świat mię w bratnie nie przyjął ramiona,
I umilkła piosenka stłumiona
Bo dziś ludzie nie chciwi na pieśnie,
Bo ich celem i godłem mamona.

Trudno w klatce utrzymać sokoła,
Trudno piosnki zapomnieć dla chleba;
Więc gdy otrę czasami pot z czoła,
Kiedy spłynie pociecha mi z nieba,
Czuję jeszcze, że śpiewać potrzeba!

I nastrojam mą lutnię—niebogę
Na ton rzewny i smutny zarazem;
Piosnki moje są życia obrazem:
Bo ciernistą przebywam ja drogę,
Bo inaczej już śpiewać nie mogę.

POŻEGNANIE.

Szedł Jasio smutny w daleką stronę,
Pożegnał chatę, niwy zielone,
Kłosa złociste na pszenym łanie,
Krzyże kościołka, gniazdo bocianie—
Wszystko, co w jego sierocój doli
Cieszy najwięcej, najsrożej boli.
Szedł Jasio smutny i wzdychał szczerze,
Wtém mu dziewczoja drogę zabieże:
Łzami zroszone zakryła oczy,
Rączką ujęła koniec warkoczy,
I jak śnieg blada i drżąca cała,
Przed swym sokołem w milczeniu stała.
Smutneż to było, smutne rozstanie—
Wiatr tylko szumiał na pożegnanie
A im na ustach zamarły słowa:
„Bądź zdrów mój miły!“ „Hanko bądź zdro-
Kiedyż ja znowu zobaczę ciebie?“ (wa!
I nic nie rzekli więcej do siebie.

Minęła jesień, sroży się zima,
Niéma Jasiénka, niéma i niéma;
Uwiędło dziewczę w srogiój tęsknocie,
Ziemia przytułek dała sierocie.
Leży w niej ona z wiankiem na skroni,
W białej sukience, z krzyżykiem w dłoni,
A nad mogiłą porasta ziele;
Sucha tarnina po niej się ścięła
I w północ, kiedy cisza grobowa,
Wietrzyk przechodniom niesie te słowa:
„Śpiesz mój jedyny, śpiesz tu mój miły,
Wołam cię Janku z zimnej mogiły.
Duszno i ciemno w mojej trumience,
Ścięły się usta, skośtniały ręce,
Wilgotna ziemia piersi mi gniece;
Tęskno mi było na bożym świecie....
Umarłam z żalu i teraz muszę
Ciężkie, ach ciężkie znosić katusze,
Póki nie zrosisz łzami rzewnemi
Na moim grobie tej matki—ziemi,
I nie przebłagasz Pana na niebie,
Żem tu nad wszystko kochała ciebie“.

OSTATNI KWIAT.

Ostatni kwiat!

Jak wiele strat

W tych słowach brzmi.

Więc niema już

Powojów, róż

I jasných dni.

Więc wionie chłód

I zmieni w lód

Przezrocze fal;

Umilknie śpiew,

Gałęzie drzew

Odkryją dal.

Zaszumi bór

W przeciągły wtór

Zimowych burz.

Ach, żal mi, żal

Zieleni, fal

I wonnych róż.

CO SIĘ DZIEJE W TÉJ NATURZE.

Co się dzieje w téj naturze!
Księżyc kąpie się w lazurze,
Świecą gwiazdy, płoną słońca,
Tworów mnogość, barw bez końca,
Zewsząd wieją aromaty,
Uśmiechami nęcą kwiaty,
Zefir dmucha, ptaszek śpiewa
I z miłości aż omdlewa,

Co się dzieje w téj naturze!
Biją gromy, warczą burze,
Noc rozwiesza swe całuny,
Drżą w mogiłach stare truny,
Milknie słaby głos stworzenia,
Wśród zamętu i zniszczenia
Gną się drzew odwiecznych czoła
I zalega śmierć dokoła.

O, czyż nie tak w duszy człeka?
Raz nabrzmiewa łąą powieka,

Serce ściska ból nad siły
I zimniejsza od mogiły
Rozpacz garnie w swe ramiona;
To znów zda się, że do łona
Nadmiar szczęścia się nie zmieści:
Człowiek kocha, marzy, pieści,
Tak mu błogo i tak miło,
Jak by w życiu trosk nie było.

KRZACZEK KALINY.

Krzaczku kaliny,
Krzaczku jedyny!
Czemu tak smutnie szeleścisz ty?
Czemu rozrzucasz liście zielone
I swe jagody bujne, czerwone
Na zimny piasek ronisz jak łzy?
— Nie moja wina,
Rzeczce kalina,
Lecz taka widać już dola twa:
Rozwiał me liście wichher surowy,
I niema cienia dla twojej głowy—
Tylko mi krwawa została łza!

J E S I E Ń.

Zniżyło się słońko, już chłodny wiatr wieje,
Pożółkły listeczki zielone,
I ptaszek coś smutnie wywodzi swe dzieje—
Miłości rozkosze minione.

I serce w mej piersi tak tęskno kołata,
Jak gdyby nadzieję zegnało.
Ach, szkoda bo szkoda i słońka i lata,
Co wszystko żywiło i grzało.

Na wiosnę znów ptaszek wesoło zanuci,
Słoneczko znów ziemię ogrzeje;
Lecz radość do serca czy jeszcze mi wróci?
Czy dola się jeszcze zaśmieje?

III.
MELODJE BRUKOWE.

III
MELODIE BRUKOWE

PIOSNKA

*Na nutę: „W gaju zielonym
Dziewczę rwie jagody,
Na koniku wronym
Jedzie panicz młody“.*

W alei zielonój
Siedzi młoda dziewa,
Wiatr dmie jak szalony,
Chłodem ją owiewa.

To zajrzy w oczęta,
To nóżkę odsłoni;
Ale od natręta
Dziewczę się nie chroni.

Bo dusza jój chora
I myśli bez ładu:
Ona już od wczora
Nie jadła obiadu!

Wtém z przeciwnój strony
Młody panicz kroczy:
Poprawił *kartony*,
Przetarł szklane oczy,

Setnie się najeżył,
Musnął po czuprynie,
Ławkę okiem zmierzył,
Usiadł przy dziewczynie.

O czém była mowa
To już rzecz nie wasza,
Bo wiatr ludzkie słowa,
Jak piaski rozprasza.

Lecz chłód w ich postaci
I zwiędłe jagody....
„*To się nie opłaci*”,
Pomyślał pan młody.

Więc poszedł w swą drogę
I głowy nie skłonił:
On téż, jak wnieść mogę,
Za obiadem gonil.

(*Głosy z pod strychu.*)

GŁOS I.

Kochane poddasze!
Tu człowiek jak ptaszę,
Na ziemskie pogląda krawędzie:

Wesoły i hoży
Przez cały dzień Boży,
Choć wie, że obiadu nie będzie!

Mam parę kołnierzy
I trochę odzieży:
Czyż tego nie dosyć dla człeka?
Nie myślę o głodzie,
Bo za to w ogrodzie
Dziś Rózia wieczorem mnie czeka.

Szalona dziewczyna!
Już gderać zaczyna,
Że niby próżnuję zawiele.
I po co nam praca?
Wszak miłość wzbogaca:
Daj pokój Rózieczko—aniele!

Lecz.... gdyby ktoś taki,
Co wspiera żebraki,
Nie wypchnął, gdy stanę u progu
I dobre dał słowo,
To może na nowo
Posłużyłbym ludziom i Bogu.

Tra, ra, ra, ra, ra, ra!
Piosenka to stara,

Bo któż kiedy biednym doradza?
Niech żyją poddasza
I dola ta nasza,
Co życie pod strychem osładza!

C H Ó R:

Niech żyją poddasza
I dola ta nasza,
Co życie pod strychem osładza!

G Ł O S II.

Zamiatam ulice sążnistym ogonem...
Nikt z ludzi mię grzecznym nie wita ukłonem,
Nikt do mnie w dzień biały przemówić nie raczy,
A jednak nie myślę umierać z rozpaczy.
Za wzgardę im płacę bezwstydem i śmiechem,
Bo grzech mój, jest wielkim i ciężkim ich grzechem.
Już serce się z uczuć wyzuło ostatka....
I tylko niekiedy przypomni się matka
I z nią moja młodość... lecz krótkie to chwile,
Bo matka już dawno spoczywa w mogile,
A młodość... o! lepiej nie myśleć już o tém,
Za wszystko mi ludzie płacili w niej błotem,
Bo każdy, jak może i kłamie i zdradza.

CHÓR:

Niech żyją poddasza
I dola ta nasza,
Co życie pod strychem osładza!

Głosy I-go piętra.

GŁOS I.

Czy mi tak *ładnie?* niech *mameczka* powie:
Róża we włosach z cierniową koroną—
Ach! bo dziś biedny Arturek się dowie,
Że... że... cha, cha, cha! że mam zostać żoną!

Jaki on śmieszny! uwierzył nieboże
W miłość bez chleba, w serdeczne zapaly:
Prawi, że *chatka* wystarczyć nam może,
Że najsmaczniejsze *niebieskie migdały*.

Miła to piosnka po dobrym obiedzie,
Ale ja wolę *realniejsze* rzeczy,
To ziemskie szczęście trwałej ubezpieczy.
Mamo! czy jutro pan *Goldner* przyjedzie?

MATKA.

O! ty filutko najlepiej wiesz o tém,
Ty się nie mylisz w czém ja *nawet* błędę.

C H Ó R.

Wszystko na ziemi zdobyć można złotem:
Precz z *czułościami*—niech żyją pieniądze!

G Ł O S II.

Ja jestem *ozdobą i mistrzem* salonów!
Nie szczędzę kadzideł, znam *sztukę* ukłonów,
Lecz hardo się stawię przed ludźmi w *kapocie*,
Nic nie mam prócz długów, lecz będę miał krocie,
Bom posiadał talizman, co worki otwiera:
Trafiłem do serca córeczki bankiera
I kredyt mój nagle wybujał w olbrzyma....
Nic teraz już lotu mojego nie wstrzyma—
Więc *nabok* mi z drogi! nieszczęsna hołoto,
Co brudne ulice szlifujesz piechotą.

(*n u c i*)

O aniele, co ze sceny
Czułem na mnie strzelasz okiem!

C H Ó R.

Zdrowie *Gucia* dżentlemany!
Choć łobuzem był przed rokiem.

IV.
A N I E L A

SZKIC DRAMATYCZNY.

O S O B Y:

- PIOTR GLEBA, dzierżawca
ANNA, jego żona.
ANIELA, ich córka.
P. JACENTY, ex-wojskowy, przyjaciel domu.
P. LICHWIARSKI, dziedzic.
MORDEKO, karczmarz.
P. ODĘTOWSKA, hrabina.
KLOTYLDA, jej córka.
P. LEON, stary kawaler—daleki [ich krewny.
P. JANUSZ, narzeczony Klotyldy.
HENRYK, artysta-malarz.
WIKTOR, młody lekarz, przyjaciel Henryka.
JAN, lokaj Odętowskiej.
DOROTKA, pokojowa.

A K T I.

SCENA I.

Wieczór. Skromne, wiejskie mieszkanie; w oknach doniczki z kwiatami; kilka krzeseł; w kącie łóżeczko, czysto ułane, nad niem obrazek, gałązka wierzby i gromnica. Aniela siedzi przy małym stoliku zajęta szyciem. Po chwili szyć przestaje i mówi zamyślona:

Jutro niedziela... o, jakże to miło...
Znowu usłyszę głos naszych organów,
Który do serca przemawia tak rzewnie,
Tak nroczyście, że łzy same płyną.
I jest coś w naszym ubogim kościółku,
Co mnie nieznaną świeżością owiewa—
Modląc się, czuję, że w nim Bóg obecny.
Ja klękam zawsze przy bocznym ołtarzu,
Bo tu, jak w niebie, zacisznie i błogo:
Ołtarz skromniutki, rzeźbione filary
Pokryły wota i wieńce zielone;
A w środku obraz Przczystej Dziewicy,
Co się łaskawie i mile uśmiecha
Tuląc do siebie Najświętsze Dzieciątko.

(Budzi się z zamyślenia i szyje znowu.)

Lecz ja tu marzę, a śpieszyć potrzeba,
Bo czépek mamy sam się nie uszyje.

SCENA II.

Aniela i Anna.

ANNA *(która ku końcowi monologu zjawia się we drzwiach.)*

Moje ty dziecko, nie oszczędzasz oczu,
A one jeszcze bardzo ci się zdadzą.

(Ściska za głowę Anielę, która całuje ją w ramię.)

Odpocznij przy mnie, nim do nowój pracy
Dola cię twoja dziewczyno powoła;
Bo to jest wszystko, co ja ci dać mogę.

A N I E L A.

Mateczko moja, ty dałaś tak wiele..
I czegoż więcej jeszcze mi potrzeba?

(obejmuje matkę.)

A N N A.

Dobrze Anielko—rada jestem z ciebie;
Przy naszych biedach to cała pociecha.
Ale mnie jedno, wyznam ci, zasmuca,

Że na twe lata wiele masz powagi :
 Nic cię nie bawi, zawsze sama jedna,
 Całe godziny siedzisz zamysłona
 I tylko z sobą, lub książką rozinawiasz.
 Dosyc tych książek: skończyłaś nauki,
 Możesz już innych uczyć, chwała Bogu;
 Wszak że za młodu, młodą być potrzeba.
 Ja sama, chociaż chowana w rygorze
 I zawsze skromną byłam, jak należy,
 Jednak w popiele nie zaspiałam gruszek,
 Gdy się do tańca wystąpić zdarzyło,
 Albo pocziwie zabawić z młodzieżą.
 Tak, moje dziecko... ale mi iść pora.

(Bierze klucze, gładzi Anielę pod brodę i odchodzi.)

ANIELA *(po długim milczeniu.)*

Mateczko droga, i ja mam pragnienia,
 Od których nieraz w oczach moich émi się,
 Jak gdybym w otchłań patrzała z wysoka.
 Mateczko moja, i ja mam *jednego*,
 Co mi się często w snach moich objawia,
 Chociaż go nigdy nie widziałam w życiu.
 Ale ten jeden, do naszej młodzieży
 Tak niepodobny—jak orzeł w obłokach
 Do nędznych wróbli, co się w piasku grzebią.

(*Składa robotę. Jacenty ukazują się we drzwiach w białej płóciennéj bluzie i słomianym kopeluszu.*)

SCENA III.

Aniela i Jacenty.

J A C E N T Y.

Panno Aniello!

A N I E L A.

A, to pan Jacenty...

Czy ojciec także już wrócił do domu?

J A C E N T Y.

Wrócił i ojciec, no, ale tymczasem
Stary Jacenty przyszedł cię powitać!

(*Aniela zbliża się i podaje rękę.*)

Wszak to dni parę aśki nie widziałem.
Na sianożęci robota nie lada!
Drzyj, jak to mówią, łyko póki drze się;
Lecz zato sianko zielone jak ruta —
Trzeba je tylko złożyć do stodoły.

A N I E L A (*zarzucając chusteczkę
na głowę.*)

Panie Jacenty, śpieszmy do roboty;
I ja tam na coś przydać się dziś mogę.

Wszakże pamiętasz, kiedyś na wóz siana
Sadzał mię nieraz, jak wróbla na strzechę.

(*śmieją się.*)

Chodźmy (*odchodzą.*)

SCENA IV.

Anna i Mordko.

(*Anna wchodzi ze świecą w ręku; spostrzega Mordka, który zagląda przez okno i cofa się.*)

M O R D E K.

Czy jegomość w domu?

A N N A.

Ach to ty Mordku, jakżeś mnie przestraszył.
Czego chcesz, powiedz; zawsześ widzę głupi.

(*Stawia świecę na stole.*)

M O R D E K.

Nu, zaco głupi? nie—Mordek nie głupi...
Ale ja przyszed, jak złodziej przez płoty,
Bo w karczmie u nas jest wielki *harmider*.

A N N A.

Wejdźże przezedrzwi, ja męża poproszę.
Ale cóż znowu stało się, dla Boga?

(*Anna wychodzi, Mordek po chwili wciska się przez drzwi w pół otwarte.*)

S C E N A V.

Gleba, Mordko, Anna, Aniela i Jacenty.

(*Za sceną słychać głos Gleby.*)

„Składajcie dziatki. W nocy deszcz być może...
A potem konie puścić na gumnisko.

G L E B A (*wchodząc.*)

Jak się masz Mordku? Jaki biś cię nosi?
Cóż? znowu guza oberwałeś pewno?

M O R D E K (*tajemniczo.*)

Jegomość nie wie... a tu cała *bięda*.
Lichwiarski *straszne* sprowadził *kamisje*.
Gwałt! Pana mają wypędzić ze dworu:
Za to, że lasu wyrąbano wiele,
Że pan *dobrodziej* rujnuje budynki,
I już ja nie wiem, co on tam wymyśla.
A do mnie mówi: „słuchaj mój kochany,
Wiem, żeś poczciwy, tylko służ mi wiernie...
Świadków nam kilku będzie tu potrzeba.
Rozumiesz?... Czarka dobędzie języka...
Tylko mi Glebie o tém ani słowa!”
Ja myślę sobie: *a krank zolst du weren,*

Czemu ja nie mam mówić jegomości,
 Kiedy *żadnego krzywdę* nam nie zrobił?
 I jak mnie tylko posłał po Hrehora,
 Co to w jesieni *ukrad kope* żyta;
 To ja tu prosto *przyleciał* do pana.
 Och, żeby tylko o tém nikt nie wiedział.

G L E B A, (*który słuchał zamysłony.*)

Dobrze mój Mordku, niech ci Bóg zapłaci;
 Bo jak mnie łotry wypędzą z torbami,
 To cię nagrodzić nie będę już wstanie.

(*Anna, Aniela i Jacenty wchodzą i otaczają Glebę. Mordek odchodzi po chwili.*)

Ha! wola Boża, a miałem przeczucie,
 Ze mi Lichwiarski gotuje siurpryzę.
 Las wyrabany! Człowieku bez duszy...
 Jam twego lasu, jak żrzenicy oka
 Strzegł, na mą własną żałując potrzebę.
 Budowle twoje, rękami własnymi,
 Od najmniejszego chronilem zniszczenia.
 Nie o budowlę, nie o las ci idzie:
 Aleś ty wiedział, żem ja potem krwawym,
 Pracą mozolną użyźnił tve pola
 I kęsek chleba pożywam uczciwie;
 Tego ci szkoda! lecz czekaj niecnoto....

Wszakże na niebie Pan Bóg sprawiedliwy
I dobrzy ludzie są jeszcze na świecie!

(Na obecnych maluje się wzruszenie.)

A N N A.

Mężu kochany, uspokój się proszę,
Po co, przed czasem, trucie siebie daremnie?

(Aniela zbliża się i całuje ojca w ramię; Jacenty chodzi i niekiedy pokręca wąsami.)

G L E B A *(do Anny.)*

Daremnie, mówisz! Znam ja Lichwiarskiego —
To szatan, z którym niełatwa jest sprawa.
Wszystkich sposobów użyje na zgubę
I z naszej nędzy jeszcze się zaśmieje.

J A C E N T Y.

A panie Piotrze, tego już zawiele,
Do kroćset djab... *(do Anny)* przepraszam jęjmości,
Że nie poczciwie wymknęło się słowo...
Ja mu na miazgę pogruchocę kości,
Ja was pokrzywdzić za nic nie pozwolę!

G L E B A.

Panie Jacenty, zapal twój poczciwy;
Lecz łbem, jak mówią, nie przebijesz ściany.

(Odchodzi, za nim Jacenty ze zwieszoną głową.)

ANNA (z rozrzewnieniem do Anieli:)

Anielko! (ściskają się.)

ANIELA.

Mamo! ty łzy masz na oczach
I takas blada... o Boże mój Boże!

ANNA.

Dziecko kochane! czuję, że zły człowiek
Wielki nam smutek i nędzę gotuje.
Klękniem przed Matki Najświętszej obrazem,
Niech Ona wejrzy na naszą niedolę
I biedne głowy od ciosu ochroni.

(W ciągu tych słów Aniela płacze, klękając. Zastłona zapada.)

Zmiana dekoracji.

SCENA VI.

Lichwiarski i Jacenty.

(Mieszkanie Mordka; Łóżko wysoko ustane, lichtarz na środku sufitu wiszący, duży, mosiężny; u ściany półeczka z książkami wielkiego formatu, druga z cynowem i miedzianem naczyniem; drzwi w pół otwarte do izby szynkowej. Lichwiarski siedzi przy stole, na którym leżą porozrzucane papiery. Po chwili mówi z oburzeniem:)

No tylko proszę?... o chamy, złodzieje!

Nikt nie chce świadczyć na tego przybłądę,

I żyd, jak widzę, krewić mi zaczyna.

Ale zaczekaj mości panie Glebo,

Nie takie rzeczy były na mój głowie!
 Chciałem wynaleźć pretekst przyzwoity...
 No, ale kiedyś tak mądry serdeńku,
 Żeś się pobratał z chłopami i żydem,
 Tom jeszcze mędrszy, zem ci na dzierżawę
 Nie dał, mój panie, prawnego kontraktu.
 Więc z tym szpargałem, który masz w kieszeni,
 Możesz się ze mną sądownie rozprawić;
 A nim interes ten wnuki ukończą,
 Ja dzisiaj jeszcze ciebie ztąd wysadzę.
 Hm... koszt nie mały, ale to się wróci;
 Dosyć mym chlebem karmić tę chołotę.
 Lecz coś za długo siedzą tam panowie...
 Żeby mię tylko nie wywiedli w pole!...

(Jacenty ukazuje się we drzwiach, ubrany od święta, z kijem w ręku).

LICHWIARSKI *(sposzrzegając go:)*

A! pan Jacenty! witam, jakże zdrowie?

JACENTY.

Do usług pańskich, mości dobrodzieju;
 Zdrowie jakkolwiek, ale dusza chora. *(siada)*
 Złe, do stu biesów, istny koniec świata!

LICHWIARSKI.

Cóż to jegomość tak na świat narzeka?
 Świat się nie zmienił...

JACENTY.

A mój dobrodzieju!

Drwisz sobie ze mnie, ale czas do rzeczy:
Panie Lichwiarski! czy masz pan sumienie,
Tych biednych ludzi wyganiać przed czasem?

LICHWIARSKI.

Chcę mój majątek oczyścić z dzierżawy.
Jeść chleb, mój panie, i ja sam też trafię.

JACENTY.

Jeść chleb powiadasz? Dla czegoś go nie jadł,
Kiedy odłogiem leżały twe pola,
Kiedy wiatr tylko po nich się przechadzał?
A teraz, kiedy po mozolnej pracy,
One zieleniec i rodzić poczęły,
Taki apetyt napadł na waszmości.

LICHWIARSKI.

Z moich postępków nie chcę zdawać sprawy;
Lecz cóż to wreszcie *acana* obchodzi?

JACENTY.

Co mnie obchodzi? Czy to waszmość nie wiesz,
Że ja u Glebów znalazłem schronienie,
Żem starą głowę w ich domu przytulił?

(Kładzie rękę na piersi.)

Słuchaj mospanie! głębokie mam rany,
Lecz jeszcze głębiej chowam wdzięczność moję.

(Głosem drżącym ze wzruszenia:)

Panie Lichwiarski, usłuchaj starego,
Ja waści proszę... nie krzywdź ich dla Boga!

LICHWIARSKI (niecierpliwie:)

Panie Jacenty, nudzisz mnie nareszcie.
Mówię stanowczo — nic z tego nie będzie!

JACENTY (uderza kijem w podłogę — wstaje i mówi z oburzeniem:)

Więc ich wypędzasz?... no to ja ci powiem,
Żeś łotr wierutny, człowiek bez sumienia!

LICHWIARSKI (zrywa się z miejsca, wymyka się z izby i mówi u progu:)

Co to jest? napaść! Ja świadków zawołam,
Ja do Urzędu zaskarżę wacana. (znika)

JACENTY.

Idź na dno piekieł ohydna poczwaro!
Idź, powiedz wszystkim, coś słyszał odemnie.

(wznosi oczy do góry:)

O Chryste Jezu! między Twoim ludem
Jakież się nieraz robactwo wylega!

(Zasłona zapada.)

AKT II.

SCENA I.

Jan, Anna i Aniela.

(Salon wytwornie umeblowany; jedne drzwi na lewo, drugie na prawo, trzecie w pół otwarte do przedpokoju. Jan zmiata kurz z mebli. Anna wchodzi z Anielą do przedpokoju, ogląda się i zbliża do drzwi salonu.)

JAN (spostrzeczając je:)

Panie do kogo?

ANNA.

Powiedz mi łaskawco,
Jaśnie -Wielmożna hrabina czy w domu?

JAN (z ironją:)

A gdzieżby proszę była o tej porze?
Hrabina w łóżku mościa dobrodziejko
I dziś nikogo zgoła nie przyjmuje.

ANNA.

Jaka to szkoda... a panna hrabianka?

JAN.

Panna hrabianka sypia do dwunastej;
Lecz czegoż paniom tak pilnie potrzeba?

ANNA.

Mamy interes. Przychodziłam wczora;
 Lecz mi ktoś w bramie powiedział z waszmościów,
 Że tylko zrana panią widzieć można.
 Jaka to szkoda; (*wskazując Anielę*) bo widzisz łaskawco,
 Jest to Hrabianki przyszyła towarzyszka,
 Będzie pod jedną z wami żyła strzechą.

JAN (*wpatrując się:*)

No, to niech panie wejdą do salonu,
 Ja zamelduję... proszę tu posiedzieć. (*odchodzi*).

S C E N A II.

(*Anna wchodzi do salonu, za nią Anielą—siadają*).

ANNA.

Jak ty zostaniesz tutaj moje dziecię?...

ANIELA.

Mateczko droga i mnie się też zdało,
 Że chłód grobowy wionął z tego domu;
 Ale po chwili nabyłam odwagi
 I teraz jestem spokojną zupełnie.
 Przecież mi dadzą choć mały tu kątek:
 Ja go ogrzeję, mateczko jedyna,
 Przyswoję sobie modlitwą i łzami,

I będę nawet szczęśliwa, wesoła
 Kiedy pomyślę, że na stare lata
 Choć małą pomoc przynieść tobie zdołam.

ANNA.

Pocziwe dziecko! niech ci Bóg zapłaci.
 Mnie już nie wiele potrzeba Anielko...
 Ojciec twój w grobie, i ja w jego ślady
 Prędzej czy później, pójdę z tego świata.

ANIELA (*obejmując matkę:*)

Mateczko moja, nie mów tak dla Boga!

SCENA III.

Też same, Jan i Odętowska.

JAN (*wchodząc:*)

Pani hrabina prosiła zaczekać.

(*Porządkuje krzesła.*)

ANNA (*poprawia kapelusz na głowie Anieli:*)

Dziecko ty moje, uspokój się proszę.

(Jan staje przy drzwiach, przysłuchuje się i po chwili otwiera je szeroko. Pani Odętowska, w rannym negliżu, staje we drzwiach. Anna z Anielą wstają i kłaniają się jej. Pani Odętowska odpowiada lekким ukłonem, wchodzi do salonu i zbliżając się do sofy, na której siada, mówi, wskazując ręką na bliższe krzesła:)

Proszę, niech panie usiądą tu bliżej...

Więc to panienka, którą mi zaleca

Moja znajoma — bardzo nam przyjemnie.

(do Aniela:)

Kłodzią zapewne będzie z pani rada...
Imię Aniela, jeśli się nie mylę.

ANIELA.

Tak, dobra pani... a nazwisko Gleba.

P. ODEŃTOWSKA.

Już co do nazwisk, to nie mam pamięci.

(Zwraca się do Anny).

Zapewne matka?

ANNA.

Tak pani hrabino,
Ja jestem matką tej biednej sieroty.

P. ODEŃTOWSKA.

C'est cela? Ach, widzę, że panna w żałobie.

ANNA.

Straciła ojca, moja dobrodziejko.

P. ODEŃTOWSKA.

Jak to okropnie! Jednak wyznać muszę,
Że mnie ten ubiór doprawdy przeraża.

ANNA.

Aniela wkrótce kończy już żałobę;
Kilka dni tylko niech pani pozwoli...

P. ODEŹTOWSKA.

Któżby zaprzeczał? ale mi żaloba
Śmierć mego męża tak żywo przedstawia,
Że zawsze potem dostaję migreny.

(wstaje).

Niech się też panie rozgoszczą w mym domu.

(do Jana:)

Panna Klotylda zapewne już wstała!
Przeprowadź panie do jej budoaru.

(do Anny i Anieli:)

Ja przyjdę wkrótce — a więc dowidzenia!

(Uchyła głowę nieznacznie; Anna z Anielą wstają, odchodzą. Jan je przeprowadza; pani Odętowska też odchodzi.)

(Zmiana dekoracji.)

S C E N A IV.

Anna i Aniela.

(Pokój o jednem oknie na ogród; łóżko, komoda przy niem, szafka, kilka krzeseł i stolik; na oknie wazon z kwiatami. Na podłodze duży tłumok. Anna z Anielą siedzą obok siebie.)

ANNA.

A chwałaż Bogu, że jesteśmy same.
Jak mnie to wszystko męczy niesłychanie.
Za moich czasów było trocha lepiej,
I nasze panie, chociaż miały wady,

Ale w ich dumie nie było obrazy —
 Tylko powaga jakaś macierzyńska,
 Co to szanować i kochać zniewala.
 I córki domów zamożnych umiały
 Oddać szacunek osiwiiałej głowie.
 Ale cóż począć? woda wstecz nie płynie
 I świat nie wróci do dawnych zwyczajów.

ANIELA.

Mateczko moja i co nam do świata?
 Ja, choć go jeszcze nie poznałam wcale,
 Lecz mi się zdaje, że się z nim nie zgodzę,
 Że będę miała swój świątek małeńki
 I ten ukocham całą siłą duszy.
 Teraz świat dla mnie: to ty moja droga,
 Stary Jacenty, ojcowska mogiła...

(na stronie.)

I on... lecz wszakże to tylko marzenie.

ANNA.

Ty mnie pocieszasz kochana Anielko;
 Wróćę spokojna; lecz chcę jeszcze tobie
 Zrobić tu mały na wstępie porządek:
 Łóżeczko twoje ja sama uścielę,
 Zawieszę nad niem tenże sam obrazek,
 Pod którym na świat przyszłaś moje dziecię.

(Aniela ociera łzy).

Módl się do niego w dobrej i złej chwili.

(Odpina łóмок, Aniela jój dopomaga.)

ANNA *(ściele łózko i mówi:)*

Spij tu spokojnie dziecinko kochana —

Niechaj nad tobą Anioł-Stróż twój czuwa.

(Żegna łózko; potem dobywa obrazek, który długo trzyma w ręku, modli się zcicha, całuje go i zawiesza nad łóżkiem.)

SCENA V.

(Za sceną słyhać głos Jucentego:)

„W te drzwi na prawo? dziękuję waszeci”

(Wchodzi Jacenty, kłania się; Aniela podaje mu rękę.)

Powolne służby... no, panno Anielo,

Siedzisz, jak w bajce zaklęta królewna,

Ledwiem się wreszcie Asińdzki dopytał.

(Kłania się Annie i stawia kij w kącie z zawieszoną na nim czapką.)

No, rzeczy wszystkie? odpocznę więc trocha,

Takem na bruku podbił stare nogi.

ANNA.

Widzisz jegomość... już na nowosielu...

Wrócimy sami, bez naszej Anielki.

JACENTY.

Ha, wola Boża! byleby szczęśliwie...

ANIELA.

Panie Jacenty, nie mówmy o szczęściu,
Ot, lepiej powiedz gdzieżeś bywał dzisiaj?

JACENTY.

Chyba gdzieś nie był zapytaj asińdzka.
Miasto ma w sobie jakieś widać czary,
Bo ile razy w niém jestem mosanie,
To czuję, jakbym odmłodniał na nowo.
Každy tu kamień, jak dobry znajomy,
Wita i zawsze miłego coś wspomni.
No, moje panie, czas się nam pożegnać —
Tylko odważnie i bez ceregielów.

ANIELA.

Ach, chwilkę jeszcze.

ANNA.

Pora moje dziecko,
Niechże cię Pan Bóg ma w opiece swojej

(Żegna Aniele).

ANIELA *(klęka i ściska matkę za kolana.)*

Mamo, ty jedziesz!

JACENTY *(podnosząc ją).*

E, panno Anielo.

Po co to wszystko, uspokój się proszę.

(Aniela pada w objęcia matki.)

Matkę swą tylko zasmucasz daremnie

I mnie staremu serce pęka z żalu.

(Bierze Annę pod rękę).

No, dosyć tego, moja dobrodziejko —

Pan Bóg rozdziela, Pan Bóg znów połączy.

(Ściska rękę Anieli).

Bądźże nam zdrowa.

(Uprowadza Annę. Aniela pada na krzesło i załamuje ręce. Zastona zapada).

Zmiana dekoracji.

SCENA VI.

Pani Odętowska i Leon.

(Salon pani Odętowskiej, która siedzi na sofie; — przy niej na fotelu p. Leon.)

P. ODEŃTOWSKA *(przymilając się:)*

Poczekaj filucie!

Te wszystkie psoty nie ujdą bezkarnie.

Wiem, wiem — i wartoż kochać was niecnoty?

LEON.

To fałsz wierutny... ktoś mi się przysłużył...

Nie wierz tym plotkom i niech będzie zgoda.

(Bierze jej rękę i ściska w dłoniach.)

P. ODEŃTOWSKA.

Ach ty motylku! Cóż mam począć z tobą?

Tylko pamiętaj, że to raz ostatni... *(grozi.)*

SCENA VII.

Ciż sami, Jan a potem Janusz.

JAN (*staje we drzwiach.*)

Pan Janusz. (*Janusz zbliża się i kłania.*)

P. ODEŃTOWSKA.

Witamy pana! Jakże służy zdrowie?

JANUSZ.

Dziękuję pani — mam się nie najgorzej.

(*Podaje rękę Leonowi i siada.*)

LEON.

Tylko coś blade wyglądasz, jak widzę.

JANUSZ (*poglądając tajemniczo na Leona:*)

Konna mię jazda nadzwyczaj utrudza,

Lecz jój dla tego używam namiętnie.

Jakże hrabina czuje się po balu?

P. ODEŃTOWSKA.

Merci, dość dobrze.

JANUSZ.

A panna Klotylda?

P. ODEŃTOWSKA.

Zdrowa jak rybka... ach otóż i ona.

SCENA VIII.

Cią sami, Klotylda i Jan.

KLOTYLDA (*zbliżając się z pośpiechem:*)

Dzień dobry panóm; (*wita się*) ach! jakżem zmęczona.
Nigdy tak wiele nie tańczyłam jeszcze;

(*Zwraca się do Janusza:*)A to pan Janusz... nieprawdaż mój panie? (*grozi.*)JANUSZ (*patrząc miłośnicie:*)

Bardzo przepraszam za zbytnią ochotę!

(*Jan wchodzi z listem na małej tacce i podaje p. Odętowskię, która zrywa kopertę i mówi po przeczytaniu:*)

Pocziwy Lichwiarski,

Jak on troskliwie interes prowadzi.

(*do Leona:*)

Panie Leonie, pomóż z łaski swojej

Wynaleźć w biurku potrzebne papiery.

(*Wstaje — do Janusza:*)

Przepraszam pana — natychmiast wrócimy

(*Odchodzi.*)JANUSZ (*do Klotyldy:*)

Jakżeś ty piękna dzisiaj mój aniele.

KLOTYLDA (*figlarnie:*)

Więc tylko dzisiaj? a mówiłeś przecie,

Żem była perłą wczorajszego balu.

JANUSZ.

Śmiejesz się ze mnie, a ja tracę głowę,
Latam na koniu, jak rycerz w balladzie
I dotąd jeszcze nie zmrużyłem oka.

KLOTYLDA.

Fi, któż tak robi? apropos, czy długo
Księżna tu w naszym miasteczku zabawi?
Jaka szczęśliwa! jaki gust anielski!

JANUSZ.

Wyłączyć jednak trzeba wybór męża,
Bo już za stary i nudziarz nie lada.

KLOTYLDA.

Co za złośliwość! Eh bien, mój panie,
Śliczny dziś bukiet otrzymałam w darze—
Zgadnij od kogo?

JANUSZ.

To rzecz nie tak łatwa...
Może pan Artur wystąpił z siurpryzą?

KLOTYLDA.

Nie, nie...

JANUSZ.

To pewnie Hrabia na *Wątorach*,
Co się tak wczoraj przymilał do ciebie.

KLOTYLDA.

Eh gdzież tam! Ale, powiem ci nareszcie —
Hrabia Stanisław, brat księżnej Ireny.

JANUSZ.

No proszę, młokos, ktoby się domyślił?

KLOTYLDA.

Młokos powiadasz? gniewam się na pana.

JANUSZ (*bierze jej rękę.*)

Dosyc już tego.

KLOTYLDA.

Lękasz się jak widzę...

SCENA IX.

Ciż sami, Odętowska, Leon i Jan.

(*P. Odętowska z dużym pakietem zapieczętowanym w ręku; — za nią p. Leon. P. Odętowska zbliża się do stołu i dzwoni. Wchodzi Jan, któremu ona oddaje pakiet.*)

P. ODEŃTOWSKA.

Oddaj posłańcowi,

Niech tylko śpieszy, bo to pilna sprawa. (*Jan odchodzi.*)

(*Do Janusza, Klotylidy i Leona:*)

Wiścież moi mili,

Jaki projekcik przyszedł mi do głowy?

Gdyby naprzykład, jeszcze przed obiadem,
Zwiedzić nam dzisiaj ogród botaniczny!...

KLOTYLDA.

Ach to wybornie! *(na stronie:)* zobaczę go może.

JANUSZ.

Myśl doskonała.

LEON.

Projekt wyśmienity!

P. ODETOWSKA.

Więc jedźmy... Klodzio...

(do Jana, który wchodzi na głos dzwonka:)

Niech podają konie!

Aurevoir!

(Wychodzi z Klotyldą do dalszych pokojów. Janusz z Leonem zostają jeszcze.)

LEON.

Wiesz co Januszu? powiem ci nowinę,
Tylko daj słowo, że nie wejdiesz w drogę,
Bo znam cię kotku już z niejednej psoty.

JANUSZ.

E, daj mi pokój, zły jestem szalenie!

LEON.

Więc nie chcesz?

JANUSZ.

Owszem, tylko bez przedmowy.

LEON.

Słuchaj, ptaszynę mamy tu nie lada.

Widziałem dzisiaj, niech ją porwą kaci,

Jest to Klotyldy nowa towarzyszka,

Będzie w ogrodzie, dalibóg szaleję!

(W ciągu rozmowy powoli zbliżają się do drzwi przedpokoju.)

JANUSZ.

No i nic więcej? Życzę powodzenia.

LEON.

Jaki mi sensat! A Rózia, mój panie!

(Śmieją się. Janusz przykłada palce do ust na znak milczenia. Odchodzi. Po chwili wchodzi Jan i porządkuje krzesła; daje się słyszeć dzwonek w przedpokoju.)

JAN.

Któżby to jeszcze?...

SCENA X.

Jan i Henryk; potem p. Odętowska, Leon, Aniela i Klotylda.*(Jan idzie powoli i otwiera drzwi. Henryk, skromnie ubrany, w słomkowym kapeluszu, wchodzi do przedpokoju, trzymając w ręku stare malowidło i zbliża się do otwartych drzwi salonu.)*

JAN.

Nie znalazł pan w domu

HENRYK.

No, to tém lepiej. Mój kochany Janie,
Pomóż mi obraz w salonie zawiesić.

(Wchodzi z Janem do salonu.)

JAN.

A toć on zawsze wisiał w przedpokoju.

HENRYK.

Tak mój kochany, alem go odnowił
I teraz widzisz, wchodzi między pany;
Bo jest to czystej krwi arystokrata.

(Wypatruje miejsce i mówi do siebie, potrząsając głową:)

Obraz, jak człowiek, bywa czasem w nędzy,
Pleśnią i kurzem pokryje się cały;
Ludzie nim wzgardzą, rzucą w poniewierkę;
Lecz przyjdzie pora, kiedy znawcy oko
Dójrzy pod pleśnią gienijuszu dzieło,
Ze czcią oczyści plamy wprawna ręka —
I obraz staje w całym majestacie,
Na tryumf sztuce i na podziw świata.

JAN *(na stronie:)*

Czego téż czasem ten pan nie wymyśli?

HENRYK *(wskazując obraz na ścianie:)*

Weź no mój Janie to płótno ze ściany
I zawieś w kącie, lub gdzie się podoba.

(Jan zdéjmuje obraz i zawiesza na inném miejscu; po chwili odchodzi. Henryk zawiesza obraz, który trzymał w ręku, odstepuje nieco, wpatruje się długo, a potém mówi do siebie:)

Pyszny Kanaletti!

Co za koloryt! Jaka siła tonów,
 Jaka przejrzystość i połysk tej wody!
 A taż gondola, co się w niej kołysze,
 Ile tu życia, wdzięku i natury!

(W ciągu tych słów Klotyllda z Anielą wchodzi do salonu; za niemi po chwili Odętowska z Leonem przechodzi przez salon i mówi do niego:)

Jaka to szkoda, że ogród zamknięty!

(Henryk nie spostrzegając Klotylldy i Anieli, które za nim stoją, kłania zlekka p. Odętowskiej, która go też wita ukłonem. Klotyllda się śmieje, Henryk zwraca się do niej z ukłonem i mówi:)

Bardzo przepraszam, nie widziałem wcale...

(Spostrzega Anielę i jęj się też kłania.)

(do Klotylldy wskazując obraz:)

Widok Wenecji, odnowiony nieco.

(Aniela wpatruje się pilnie.)

KLOTYLDA *(niedbale:)*

A, tak... znajomy — mnie on nie zachwyca.

(Cóż sobie przypomina:)

Wszakże dziś lekcja? Postąpiłam znacznie;

Pan się przekona własnemi oczyma.

Proszę... lecz muszę państwo poznać.

(Do Anieli:)

Pan Henryk — malarz, o którym mówiłam.

(Do Henryka:)

Panna Aniela, moja towarzyszka...

Już od tygodnia mieszka w naszym domu
I codziennie pyta o pana sto razy.

ANIELA (*zażenowana:*)

Panno Klotyldo!

HENRYK (*do Anieli, której się pilnie przypatrywał:*)

Uspokój się pani!

Panna Klotylda jest w dobrym humorze,
Który się zwykle w ten sposób objawia.

KLOTYLDA.

Niech i tak będzie; (*do Anieli:*) ma chère, czy pozwolisz
Przenieść stalugi do twego pokoju?
Bo u mnie niby, jak się pan wyraża,
Za wiele światła. (*śmieje się.*)

HENRYK (*obojętnie:*)

Tak, okien za wiele.

ANIELA.

Ach, bardzo proszę, jeśli się podoba.

KLOTYLDA.

Slicznie dziękuję—allons, moja droga.

(*Zbliżają się z Henrykiem do drzwi na lewo. Klotylda zatrzymuje się, myśli chwilę i mówi do Henryka:*)

Lecz mi pan raczy przebaczyć łaskawie,
Że go dziś nieco zatrzymamy dłużej.

Mam pilną sprawę -- o, i ja mam sprawy,

Których odkładać do czasu nie mogę;
Przyrzekam jednak, że prędko powrócę.

(Do Anieli:)

Ma chère, na tobie ciężyc będzie wina,
Kiedy pan Henryk bezemnie się znudzi.

(Uśmiecha się figlarnie i przebiega przez salon. Aniela z Henrykiem znikają we drzwiach.)
(Zmiana dekoracji.)

SCENA XI.

(Pokój Anieli. Aniela wchodzi zamyślona i mówi po chwili:)

To ten, którego w snach moich widziałam...
Ach! sama nie wiem, co się ze mną dzieje,
Tak mi jest dobrze, że zapłakać chce się.

(Przykłada rękę do piersi.)

Czuję tu niebo... a przecież się lękam....
Co się to stało? O mateczko moja,
Dla czego ciebie niema tu w tej chwili?

(Zakrywa oczy.)

Bo on... on o tém nigdy się nie dowie.
I co mu do mnie, ubogiej dziewczyny?
Co mu orłowi z ptaszyny poziomej,
Która z nim razem pod niebo nie wzleci?

SCENA XII.

Aniela, Dorotka, Henryk i Klotylda.

*(Dorotka wnosi stalugi; za nią Henryk i Klotylda wchodzi. Dorotka wraca.)*KLOTYLDA *(do Henryka:)*

I jakże tutaj? Lepiej pan znajduje?

HENRYK *(ogląda się:)*O, tu jest dobrze. Nawet nie wiem czemu,
Rzeźwięj mi jakoś.

ANIELA.

Bardzom z tego rada.

KLOTYLDA *(na stronie:)*

Widzę, że radzi jesteście nawzajem,

(Henryk patrzy na Anielę, która spuszcza oczy.)

Ale mój panie, pora już do rzeczy.

(Siada przy staludze, Henryk przy niej. Aniela podchodzi do otwartego okna, na którym się opiera i patrzy na ogród; potem siada przy stoliku, szyje i spogląda niekiedy na Henryka:)

HENRYK.

Niechże więc panna Klotylda zaczyna.

Kontur w tém miejscu poprawić należy —

Rozmiar chybiony. Ot tak, teraz lepiej,

Proszę malować. *(Klotylda maluje.)*

Tylko nie tak ostro.

Cienie tu nieco złagodzić potrzeba —
 Tak będzie dobrze. *(do Anieli:)* Niech pani nam powie,
 Jak się ten wiejski obrazek podoba,
 I czém go jeszcze ożywićby można?

ANIELA *(zbliża się nieśmiało i długo się wpatruje)*

Nie wiem doprawdy... lecz jeśli pan życzy...

(Po namyśle:)

To mi się zdaje, że tu chatę starą
 Z krzyżem pochyłym umieścić potrzeba,
 A pod tym krzyżem modlące się dzieci,
 W promieniach słońca, które właśnie wschodzi.

HENRYK *(z rozpromienioną twarzą wstaje i podając rękę Anieli:)*

Myśl przewyborna! niech się więc tak stanie.

Daléj do dzieła!

KLOTYLDA.

Rada jestem z duszy,

Że się pan uczyć, jak widzę, zaczyna.

HENRYK.

Serce jest mistrzem najstarszym podobno,

I w jego głębi są skarby ukryte,

Których wystarczy do skończenia świata.

(Do Anieli:)

Dziękuję pani!

SCENA XIII.

Cią sami i Dorotka.

DOROTKA (*wchodząc:*)

Podano do stołu.

KLOTYLDA.

Więc bardzo proszę, bo mama nie lubi

Czekać, gdy waza zjawi się na stole.

*(Wstaje, bierze Anielę pod rękę i czekają na Henryka, który jeszcze maluje.)*HENRYK (*ogląda się:*)

Bardzo dziękuję — jużem po obiedzie;

Lecz, jeśli można, zostanę tu nieco.

(Do Anieli:)

Chciałbym myśl pani na płótnie zatrzymać.

KLOTYLDA.

Jak się podoba... a ja ten obrazek

Pannie Anieli oddaję na własność —

(Uśmiecha się.)

Będzie to miła, jak sądzę, pamiątka.

ANIELA.

Nad wszelki wyraz. *(ściska rękę Klotyldy.)*KLOTYLDA (*do Henryka:*)A więc do widzenia! *(Podają mu ręce i odchodzą.)**(Henryk patrzy miłośnie na odchodzącą Anielę, potem wstaje, ogląda się dokoła i mówi z uniesieniem:)*

O mój Aniele, czuję tutaj ciebie!
 W woni tych kwiatów, w tym małym obrazku,
 W cudnej świeżości, która mnie owiewa—
 Wszędzie ty jesteś!

(Kłeka i mówi, patrząc na zawieszony nad łóżkiem Anieli obrazek:)

W obec tej świątyni,
 Do której myśli i oczy podnosisz,
 Wyznaję głośno, że ja kocham ciebie!
 Odtąd ty jesteś moim ideałem,
 Gwiazdą promienną, co mnie poprowadzi
 Do wzniosłych celów, poświęceń i trudu!

(Wstaje, patrzy jeszcze na obraz, który malował przed chwilą; siada, maluje znowu, potem składa pędzle, bierze kapelusz, odchodzi nieco od obrazu i mówi wpatrując się w niego:)

Ile tu myśli! Niewiniątek głowy,
 Kornie schylone w porannej modlitwie,
 Ozłaca promień wschodzącego słońca—
 Jak zwiastun Bożej nad niemi opieki,
 Jak gdyby goniec Jego miłosierdzia!
 A chatka pusta... ani żywej duszy —
 Godło sieroctwa, cierpienia i nędzy!

(Ogląda się raz jeszcze dokoła i odchodzi.)

Zmiana dekoracji.

SCENA XIV.

Henryk i Wiktor.

(Scena przedstawia pokój o jedném oknie, zarzucony książkami; na ścianach obrazy, gipsowe maski i inne akcesorja malarskie; dwa łóżka, jedno naprzeciw drugiego; między niemi stołik, na którym wielki nieład. Wiktor, przy podjęciu zasłony, wstaje z łóżka, kładzie na stole książkę, odsuwa łóżko od ściany i nuci poglądając na sufit, z którego spadają duże krople wody.)

„Hęj do tańca dziewczuchy,
Zagraj dudko Maćkowa!”

(Potém mówi:)

Jabłko, co spadło na mędrca łysinę,
Odkryło ludziom prawa przyrodzenia;
Lecz na co zda się kropla zimnej cieczy,
Która o nos mój rozprysła w tej chwili,
To jeszcze kwestja dla przyszłych pokoleń.

(nuci:)

„Co mam nie być wesoły?
Zgorzały mi stodoły”.

(Za sceną daje się słyszeć prędkie stąpanie po wschodach. Henryk wpada zadyszany, zmokły i mocno uściska Wiktora.)

HENRYK.

Zaduszę ciebie, kochany Wiktorze!

(W tej chwili woda z kapelusza ścieka na podłogę i na Wiktora, który się wyrzuca.)

WIKTOR.

Dajże mi pokój zapalona głowo.

(Otrząsając się z wody.)

Widzę, że z deszczu trafiłem pod rynnę;
Lecz cóż się stało? wpadłeś jak szalony —
Nie sędzę jednak, żebyś już zwarjował?
Zmokłeś do nitki...

HENRYK.

A tego nie czułem.

(Przyklada rękę do piersi.)

O, bo ty nie wiesz, jaka tu pogoda.

WIKTOR.

I gdzieżeś bywał? Obiad twój nie tknięty, *(grozi)*
Jakaś wycieczka wątpliwéj natury.

HENRYK *(serjo:)*

Wiktorze, bracie, nie mów tak dla Boga —
To świętość, której kalać ci nie wolno.

WIKTOR.

Przecie mi powiesz, co to wszystko znaczy.

HENRYK *(siada.)*

Powiem mój drogi, tobie powiem tylko,
Bo nie mam więcej już komu powiedzieć.
Kocham do szału!... Anielska istota...
Dziś ją poznałem... wyobraź Wiktorze— .

Taka zupełnie, jakąm nieraz tobie
 Słabemi słowy malował dziewczynę;
 Lecz cóż wyrazy? ty nic nie zrozumiesz.

WIKTOR.

Bo też zrozumieć ciebie nie tak łatwo.
 Powiedz przynajmniej, kto jest twa nieboga?

HENRYK.

Wyobraź sobie: hrabina poczwara,
 Dla swojej Klodzi, zepsutej dziewczyny,
 Za towarzyszkę wybrała anioła.
 Byłem tam dzisiaj... reszty się domyślisz.

WIKTOR (*nuci*)

„Więc koń srokacz, żona Magda,
 Co ma Bóg dać, to i tak da!”

A Rzym, Wenecja, jej cudne gondole
 I włoskie niebo już na drugim planie?

HENRYK.

O, nie Wiktorze, masz mnie za ślimaka,
 Co w swęj skorupie zamknął całe życie.
 Nie! Moja miłość, to jakby modlitwa,
 Którą uwielbiam Stwórcę i naturę.
 Kocham Aniele, jak święte natchnienie,

Które w méj duszy nowe siły budzi
Do walki z życiem i trudu bez końca!
No, cóż ty na to?

WIKTOR.

Ha! w waszój naturze
Musi być jakaś subtelną odmiana,
Której nie dotknął nóż anatomiczny.

Zastona zapada.

A K T III.

SCENA I.

(*Salon pani Odętowskiej.*)

Leon i Jan.

LEON.

No cóż? oddałeś?

JAN.

Oj, źle jaśnie panie.

Panna Aniela gniewa się okrutnie.

Kiedym jój oddał kartkę jaśnie pana,

Przebiegła okiem na prędcę i mówi:

„Powiedz mój Janie, czy téż to się godzi?”

A potém patrzę, źle! zbladła jak ściana

I na mnie jakoś tak dziwnie spojrzała,

Że psem bym wolał być na ową porę.

LEON.

No i cóż dalój?

JAN.

Chciała iść do pani —

A ja jój do nóg: „Złota panienczko,

Toż mnie, powiadam, utopić się chyba.”

Więc się wstrzymała: „Ja sama dam radę,
Idź, mówi do mnie, i powiedz mój Janie
Temu tam panu, że się z nim policzę.”

LEON.

Tam do kaduką! Szalona dziewczyna.
Czy pani w domu?

JAN.

Nie ma jaśnie panie.

LEON (*wyjmuje portecigare:*)

Podaj mi ognia, tu na nią zaczekam
(*Zapala papieros. Jan odchodzi.*)

LEON.

Hm... głupia sprawa — wpadłem jak w pokrzywę,
Ale to gorzej, że powstać nie mogę!
Tak się zakochać mnie, mnie i w kim jeszcze?...
Czary, nic więcej — no, lecz już po czasie;
Żegnaj swobodo! dzisiaj jeszcze powiem,
Że się z nią żenię. Brrr! jakże to miło
Wystąpić w roli małżonka przed światem.
Toż będzie śmiechu! Głupio, głupio, głupio!

(*Po namyśle:*)

Harda dziewczyna — nie ma innej rady,
Zresztą, buziaczek taki wart ofiary:
Dam jej me imię i będzie królową —
Co mi tam wreszcie, że Gleba ją rodzi?

SCENA II.

Leon i Aniela.

(Aniela zagląda przez drzwi do salonu. Leon zrywa się z krzesła.)

LEON.

Panno Aniello!

ANIELA (zbliża się powoli i daje znak żeby nie mówił.)

Niech się pan zatrzyma,
 Kilka słów tylko chcę panu powiedzieć.

(Oddaje podarty bilecik, który Leon przyjmuje machinalnie.)

Proszę to przyjąć... resztę już od Jana

Wiesz pan zapewne; dodam tylko jeszcze,

Że to się trochę z honorem nie zgadza.

(chce odejść.)

LEON.

Panno Aniello, chwilę cierpliwości...

Winienem wprawdzie, lecz się to zagładzi—

Oto jest ręka, którą ofiaruję.

*(wyciąga rękę.)**ANIELA (z uśmiechem:)*

A ja jej przyjąć niestety nie mogę.

LEON.

Panno Aniello, nie dręcz mnie daremnie,

Ja panią kocham! *(kłęka.)**ANIELA (śmieje się głośno.)*

Ach, jakże to śmiesznie.

SCENA III.

Ciż sami, p. Odętowska, Janusz i Klotylda.

(P. Odętowska wchodzi do salonu i spostrzega klęczącego Leona.)

P. ODEŃTOWSKA.

Ach!

(Mąleje; Klotylda i Janusz ją podtrzymują i przeprowadzają śpiesznie przez salon. Leon zrywa się zmięszany, Aniela też odchodzi.)

LEON (sam:)

Slicznem się spisał!

(Uderzając ręką w czoło:)

Kapuściana głowo!

SCENA IV.

Leon i Janusz, a potem Dorotka.

JANUSZ (śmiejąc się:)

Powolne służby kochany Leonie.

Winienem tobie za reprezentację.

LEON.

Milczałbyś lepiej.

JANUSZ.

Jak ci się podoba.

A chciałem dowieść, że dziś dzień feralny

I opowiedzieć dość ciekawą scenę.

LEON (*niecierpliwie*.)

No, cóż takiego?

JANUSZ.

U Szpora, dziś rano,
Pijemy kawę z Arturem i Stasiem;
Rozmowa była dosyć poufała,
Więc się zgadało o twoich zalotach....
I, kiedy Artur donośnie i pięknie
Wywodzi z tego zwycięztwo niemyślne,
Pada jak bomba szklanka czarnej kawy
I twarz mu całą, wyobraź, zalewa.
Skandal okropny! Zrywamy się tedy,
Aż się rzecz cała wyjaśnia nareszcie:
Malarz ten Henryk, czy jak się on zowie,
Którego nikt z nas nie dostrzegł w natłoku
Tak nam Arturka uraczył niecnota.

LEON.

No kończ, cóż dalej?

JANUSZ.

Finał gorszy jeszcze,
Bo nam w dodatku powiedział kazanie
A gawiedź cała śmiała się jak pjana.

LEON.

To łotr, no proszę, i nicze mu za to?

JANUSZ.

A nic... Arturek przeląkł się nieboże,
 Staś się najeżył, ale znikł nam w tłumie.
 Co do mnie... gardzę tą szlachecką zgrają,
 I w żadne bójki pewnie się nie zadam.

DOROTKA (*wchodzi i mówi do Leona:*)

Pani przeprasza, że przyjąć nie może.

(*Leon robi grymas i odchodzi z Januszem. Dorotka się uśmiecha
 i znika we drzwiach.*)

Zmiana dekoracji.

SCENA IV.

Pokój Anieli.

A n i e l a i J a n .

(*Wczynie podniesienia zasłony, Jan wychodzi od niej z papierem
 w ręku.*)

ANIELA (*widocznie wzburzona.*)

Jakaż ja biedna! Boże mój, dla czego
 Ludzie tak radzi zatruwać nam życie?
 Co za zniewaga! Ta pani przysyła
 Zapytać, kiedy dóm jej mam opuścić?
 Czyż ona mogła wątpić choć na chwilę,
 Że ztąd ucieknę, że brzydę się niemi.
 Jutro koniecznie odjechać ztąd muszę...
 Jutro koniecznie... a tu serce boli,

Kiedy pomyślę, (*ogląda się*) że ten mały kątek,
 W którym chwil kilka tak cudnie przeżyłam,
 Jutro już obcym będzie dla sieroty!
 Lecz Henryk dla mnie obcym być nie może,
 On mnie zrozumie... (*placze.*)

SCENA V.

Aniela i Dorotka.

DOROTKA (*wchodząc:*)

Panienko kochana,

Wartoż to płakać? Ot, leż tylko szkoda
 Dla takich ludzi, odpuść panie Boże.
 U nas prawdziwe dziś skończenie świata:
 Pani się złości, mdleje nieustannie,
 Panna Klotylda traci przy niej głowę;
 A doktor czasem tylko się uśmiecha
 I żadnych lekarstw przyjmować nie radzi.
 Ej panienczko, ucieczem ztąd lepiej.
 (*Całuje rękę Anieli.*)
 Ja bez panienki tutaj nie zostanę.

ANIELA.

Dziękuję tobie kochana Dorotko;
 Lecz gdzież ja ciebie podzieję niebogo?
 Obieśmy biedne.

DOROTKA.

Ale zdrowe obie:

Praca wyżywi, pan Bóg dopomoże.

ANIELA (*po krótkim namyśle.*)

Złota Dorotko, masz ty trochę racji;
 Jakoś to będzie... mam prośbę do ciebie:
 Dowiedz się tylko, gdzie pan Henryk mieszka,
 Biegaj dziś jeszcze, kłaniaj mu odemnie,
 Powiedz co zaszło i proś, żeby jutro,
 Przy Ostrój-Bramie, czekał na mnie zrana.
 Chcę się z nim widzieć i zasięgnąć rady —
 No cóż, czy dobrze?

DOROTKA (*ochoczo:*)

Dobrze panieneczko.

Pan Henryk taki rozumny i grzeczny —
 Pójdę do niego, chociażby wśród nocy.

(*Daje się słyszeć dzwonek za sceną.*)

O, jak tam pilno! (*wybiega.*)

ANIELA.

Dziej się wola Boża!

Henryk pozwoli pracować uczciwie.

Miałam tu czekać i tęsknić, nim wróci

Z dalekiej drogi anioł mój jedyny.

Lecz, czyż nie lepiej i swobodniej będzie

Pracą zabijać długie dni tęsknoty,
Niż tu, z uśmiechem udanym na twarzy,
Cierpieć podwójnie i znosić zniewagę?
On tak szlachetny, mówił mi sam przecie,
Że praca zdrowie i spokój przynosi —
A jabym miała gnuśnić w tój kałuży?
Nie, ja chcę pracy, pracy i spokoju!

Zasłona zapada.

AKT IV:

*(Mały pokój, przedzielony kotarą. Aniela blada, siedzi na łóżku w białym, rannym negliżu; włosy jej rozpuszczone, niedbale spadają na ramiona. Na stoliku, u wezglowia, fiaszeczki z lekarstwami i książka otwarta. Nad łóżkiem tenże sam obrazek, gałązka wierzby i gro-
mnica.)*

SCENA I.

Aniela i Dorotka.

ANIELA *(przyciskając do ust papier, który trzyma w ręku.)*

O mój Henryku, jakżeś ty daleko...

Kochasz i tęsknisz — poczciwy, serdeczny!

Czuję to dobrze, wierzę, ale za to

Jakże ja ciebie kocham mój aniele!

(Znowu całuje list; potem przyciska go do piersi.)

Tak, tak cię kocham, że nieraz się boję,

Żeby przed czasem w tym ogniu nie spłonąć,

Co tutaj gore i trawi mię samą.

DOROTKA *(wchodzi i stawia koszyk za kotarę:)*

Trzy złote tylko dostałam panienko.

Jacy to ludzie, odpuść Chryste Panie,

Za tyle pracy płacić tak niewiele:

(Staje przed Anielą i patrzy na nią.)

Ej panienczko, szkoda twoich oczu

I białych rączek dla takiej roboty.

(Aniela kaszle.)

Ot, nie śpisz nocy, męczysz tylko siebie—
 Żle, źle!...

ANIELA.

Daj pokój Dorotko ;
 Zawsze tu lepiej, niżli u Hrabiny. (*kaszle.*)

DOROTKA.

Lepiej panienko, bo choć bieda ciśnie,
 Ale człek takięj nie widzi sodomy
 I panu Bogu nie robi zniewagi.
 Aleby można znaleźć kawał chleba
 Bez takięj pracy, (*na stronie:*) tylko już nie pora.

ANIELA.

Moja Dorotko, dla mnie nic nie trzeba,
 Prócz tęg izdebki i wieści od *niego*...
 Nie mam już matki; *on* jeden pozostał,
 Ale tak wielki, że całej mej duszy,
 Serca i myśli jeszcze jest za mało,
 By go ogarnąć, ukochać jak trzeba,
 Jakbym ja chciała... (*opuszcza głowę na poduszki, widocznie
 znużona.*)

DOROTKA (*na stronie:*)

Matko Przenajświętsza!

ANIELA.

Gdyby *on* wrócił! o! *on* prędko wróci,

Czuję to dobrze... a ja nie mam siły
 Podnieść się z łóżka! Pan Wiktor powiada,
 Że będę zdrowa... jaki on pocziwy!
 Zdrowie—to życie... muszę żyć koniecznie!
 Dorotko, podaj lekarstwo, kochana;
 Wszakże mi lepiej? *(kaszle; na chustce, którą do ust przykła-
 da, daje się widzieć krew.)*

DOROTKA *(smutnie zwieszając głowę:)*

Lepiej panienczko,
 Proszę się tylko uspokoić nieco.

ANIELA.

To nic... lżej trocha, gdy się krew pokaże;
 Pan Wiktor mówi, że to tak potrzeba —
 A ja mu wierzę... *(zaczyna drzemać.)*

(Dorotka spuszcza kotarę i mówi zcicha:)

Biedna moja rybka...
 Jak jej żyć chce się, a tu rady nie ma!

SCENA II.

Też same i Wiktor.

(Wiktor wchodzi; Dorotka daje znak, że Aniela zasnęła.)

WIKTOR *(zcicha:)*

Jakto, zasnęła? dawno?

(Daje się słyszeć kaszel urywany.)

ANIELA (*za kotarą:*)

Konsyljarzu!

Nie pytaj o nic, bo Dorotka skłamię.

(*Dorotka odsłania kotarę.*)

No, chwała Bogu, że przyszedłeś przecie.

WIKTOR (*podaje rękę i siada.*)

I jakże dzisiaj?

ANIELA.

Nieźle, mój doktorze.

Tylko powietrza, zdaje się, za mało.

(*Przykłada rękę do piersi.*)

WIKTOR.

To wszystko minie... ale mam nowinę...

I bardzo dobrą.

ANIELA (*zrywa się nagle:*)

Cóż, Henryk mój wraca?

Nieprawdaż, wraca? mów panie Wiktorze!

(*Kaszele i opada znowu na poduszki.*)

WIKTOR.

Warunek jeden: spokojność! — inaczéj

Ja nic nie powiem.

ANIELA (*składa ręce na krzyż i mówi ciszej:*)

Nie dręcz mnie dla Boga;

Jużem spokojna, widzisz — Henryk wraca?

SCENA III.

Ciż sami i Henryk, *(który cicho wchodzi, ukrywa się za kotarę i daje Dorotce znak milczenia.)*

WIKTOR.

Wraca, i może wrócił już w tej chwili.

ANIELA.

(Nagle się pośnosi, mimo usiłowań Wiktora, który ją zlekka wstrzymuje i mówi silnym głosem:)

Gdzie on jest? powiedz? Któs tu weszedł zda się;

Czuję go tutaj... Henryku mój drogi!

Do mnie, tu, do mnie... śpiesz, bo nie mam siły...

(Opada na posłanie, głowa się zatacza.)

HENRYK *(wbiega.)*

Anielo moja! *(klęka przy łóżku, bierze obie ręce Anieli i tuli do nich twarz.)*

WIKTOR *(który się pilnie wpatrywał w Anielę.)*

Już mnie tu nie trzeba.

(Załamuje ręce i odwraca się od łóżka.)

Biedni wy, biedni! Dorotko, gromnicę...

Zasłona zapada.

KONIEC.

SPIS RZECZY.

I.

	<i>str.</i>		<i>str.</i>
Strachy, (opowiadanie starego Jana)	7	Prośba	27
Ekonom (gawędki przy kominie)	10	Pogrzeb	28
Pieśniarz	15	Do E. P.	30
Dziewczę i słowik	17	Zima	31
Dzwon zapustny	18	Miłosierdzie	32
Kości, kości!	20	Złota chwilka	33
Piosnka sierota	21	Nie dla mnie kwiaty	34
Słubna sukienka	23	Sierota	36
Boleść święta	24	Włazł kotek na płótek	37
Madona	25	Fragment z niedokończonyj gawędy	39
Serce człowieka	26		

II.

Piosnki:

Grajek	45	Czarne oczy	54
Zielony wianeczek	47	Płyną lata	55
Miłość	48	Pożegnanie	57
Rozmowa	49	Ostatni kwiat	59
Kwiatek	50	Co się dzieje w tej naturze! ..	60
Gwiazdka	51	Krzaczek kaliny	61
Mogila	52	Jesień	63

III.

Melodje brukowe:

Piosnka	65	Głosy pierwszego piętra	69
Głosy z pod strychu	66		

IV.

Aniela — szkic dramatyczny	71
----------------------------------	----

INSTYTUT
ŁADAN I WYKONANIA PAN
Biblioteka
 ul. Nowy Świat Nr 72
 00-810 Warszawa
 Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42



F

1457